

GAZETA

NIEDZIELNA

ROK 5.

LONDYN, 17 LUTEGO 1952

NR. 7/147



KRÓL JERZY VI (1895—1952)

KRÓL JERZY VI

Tajemnica przywiązania i miłości, jakimi się cieszył w całej Brytyjskiej Wspólnocie Narodów zmarły Król Jerzy VI, leży nie w jego jakichś niezwykłych uzdolnieniach, talentach polityczno-dyplomatycznych lub bohaterskich czynach — ale w tym, że w sposób ujmująco prosty, pełen umiaru i skromności ale i godności zarazem, służył tym, nad którymi panował. Służył im codziennie, każdym swym aktem państwowym i każdym wystąpieniem publicznym, ale też i całym swym życiem prywatnym i rodzinnym. Był zawsze i naprawdę „pierwszym gentlemanem” tego kraju i pierwszym jego obywatelem, nie dzięki posiadanym przywilejom, lecz dzięki sumienności spełniania obowiązków. I dlatego właśnie był uosobieniem związku między ojczyzną a jej obywatelami, związku opartego o stare i dobre tradycje swoich godnych poprzedników. To też trwałym skutkiem jego panowania jest wielkie wzajemne zbliżenie się między koroną i narodem.

A trzeba pamiętać, że dokonano się ono w czasach dramatycznych i nawet tragicznych dla W. Brytanii i całej Wspólnoty. We wszystkich tych przełomowych i ważkich chwilach osoba Króla, poświęconego swym obowiązkom i strzegącego prawa i konstytucji, zawsze myślącego o dobru całości, była rękojmnią i symbolem jedności działania i spójni.

Szczególnym zaś tytułem do powszechnego uznania pozostanie fakt, że rodzina królewska, której był głową, była zawsze wzorem rodzin, co tylokrotnie podkreślał w swych oświadczeniach Ojciec św. Pius XII. Może właśnie dzięki tej moralnej postawie zmarły Król zasłużył sobie na zaszczytne miano Ojca swego Kraju i na przydomek Jerzego Dobrego. Jako człowiek na wskroś nowoczesny Król Jerzy reprezentował dawne i nieprzemijające wartości i cnoty chrześcijańskie.

Wraz z 25 milionami katolików Brytyjskiej Wspólnoty Narodów obywatele katolickiej Polski, którzy za panowania zmarłego Króla zaznali gościnności na ziemiach w W. Brytanii i innych krajach Wspólnoty, zanoszą do Boga modły o spójność duszy zgasłego Monarchy.

* * *

Król Jerzy VI urodził się 14 grudnia 1895 r. w Sandringham (Norfolk) jako drugi syn króla Jerzego V i królowej Marii z domu ks. Teck. Urodził się, gdy jeszcze żyła i panowała, już 57 lat, jego prababka, królowa Wiktorja, gdy jego dziadek, późniejszy król Edward VII, był jeszcze księciem Walii, a jego ojciec księciem Yorku. Przy chrzcie nadano mu imiona Albert, Fryderyk, Artur, Jerzy. W dzieciństwie otrzymał dość spartańskie wychowanie w domu rodzinnym i wczesnie poszedł do szkoły kadetów morskich, a potem do szkoły wojskowej. W czasie I wojny światowej służył jako podchorąży w marynarce wojennej i wziął udział w jej działaniach wojennych. Pod koniec wojny nauczył się pilotażu i został oficerem RAF-u. Po wojnie studiował w Cambridge i w czasie swych studiów w r. 1920 otrzymał tytuł księcia Yorku. W r. 1923 poślubił Lady Elżbietę Bowes Lyon, córkę hr. Strathmore, z rodziny blisko spokrewnionej z królami Szkocji. Z tego związku rodzą się dwie córki: Elżbieta, ur. 21.4. 1926, i Małgorzata,

ur. 21.8. 1930 r. Od wczesnej młodości bierze udział w licznych podróżach dominialnych i do Europy jako reprezentant króla Jerzego V. W r. 1927 odbywa wraz z żoną podróż oficjalną do Australii i N. Zelandii.

W styczniu 1936 r. umiera jego ojciec król Jerzy V i na tron wstępuje jego starszy brat Dawid pod imieniem Edwarda VIII, ale po znanym kryzysie abdykuje i w grudniu 1936 r. władza przechodzi na księcia Yorku Alberta, który przybiera imię Jerzego VI, aby zaznaczyć, że pragnie iść w ślady swego ojca, Jerzego V. Koronacja pary królewskiej odbyła się 12 maja 1937 r. Wziął w niej udział również przedstawiciel Rzecypospolitej Polskiej po raz pierwszy po odzyskaniu niepodległości.

Bezpośrednio przed ostatnią wojną para królewska składa oficjalne wizyty w Kanadzie, w Stanach Zjednoczonych oraz we Francji. W czasie wojny królestwo nigdy nie opuścił Londynu, mimo słynnych bombardowań. Pozostali wraz z całą ludnością (Dokończenie na str. 2)

KRÓLOWA ELŻBIETA II

Król Jerzy VI odszedł na zawsze, ale urząd władcy nie może ani chwili pozostać nieobsadzony. Automatycznie władczynią została starsza córka zmarłego króla, która przybrała sobie imię Elżbiety II. Obejmuje ona tron jako z kolei szósta w historii królowa Anglii. Ostatnia jej poprzedniczka, i jej prababka, królowa Wiktorja wstąpiła na tron w r. 1838 mając lat niespełna 18. Królowa Elżbieta II jest w 26-ym roku życia. Bierze na swoje młode barki wielki ciężar obowiązków i na ołtarzu dobra ogólnego będzie musiała złożyć niejedną ofiarę ze swego życia osobistego.

W oświadczeniu złożonym przy obejmowaniu władzy przed Radą Koronną młoda Królowa oświadczyła, że pragnie pracować, jak jej zmarły ojciec, nad podtrzymaniem rządów konstytucyjnych, idąc za jego przykładem służby i poświęcenia.

Królowa Elżbieta II urodziła się 21 kwietnia 1926 r. w domu rodziców swej matki w Londynie i na chrzcie otrzymała imiona Elżbieta, Maria, Aleksandra. Gdy skończyła lat 9, zmarł jej dziadek król Jerzy V i królem został jej bezenny stryj Edward VIII, tron przybliżył się do niej. A gdy jej stryj abdykował i na tronie zasiadł jej ojciec jako król Jerzy VI, przypadła jej rola jego następczyni. Wtedy też rozpoczęto specjalne przygotowanie małej jeszcze lecz wykazującej mocny charakter królowej. Gdy miała lat 11 wzięła bezpośredni udział w koronacji swych rodziców w r. 1937.

Jako następczyni tronu otrzymała specjalne wykształcenie, nauczyła się błęgiego władania językami francuskim i niemieckim oraz zapoznała się ze sprawami, które muszą być znane przyszłemu władcy. Do nich należą przede wszystkim prawo konstytucyjne którego ma być stróżem oraz aktualne sprawy krajowe i międzynarodowe. W wieku młodzieńczym brała udział w organizacjach młodzieżowych, jak harcerstwo i opiekuńczych.

Po wybuchu wojny i podczas bombardowań Londynu przeżywała wraz z młodszą siostrą w Windsorze, skąd wygłosiła przez radio przemówienie do dzieci całego imperium. Na jej usilne nalegania Król pozwolił jej na służbę w szeregach A.T.S., gdzie skończyła podoficerski kurs kierowców transportowych. W czasie wielkiej Defilady w Dniu Zwycięstwa w 1945 r.

królowa Elżbieta wystąpiła w mundurze A.T.S.

W dniu swej pełnoletności powiedziała przez radio z niezwykłą dla młodej kobiety mocą: „Oświadczam wam, że całe me życie, czy będzie ono długie czy krótkie, poświęcę służbie wam, służbie naszej wielkiej Rodziny Imperialnej, do której wszyscy należymy”.

Idąc za głosem serca królowa Elżbieta w dniu 20.XI. 1947 poślubiła towarzysza swych zabaw dziecińczych, księcia Filipa Greckiego, porucznika marynarki brytyjskiej, który zrezygnował z praw do tronu greckiego i przyjął nazwisko swej matki Mountbatten a w W. Brytanii otrzymał tytuł ks. Edynburskiego. 14.XI. 1948 r. urodził się księstwu syn Karol, który obecnie jest następcą tronu. 15.VIII. 1950 królowa powiła córkę Annę.

W r. 1951 w czasie swego pobytu na Malcie królowa Elżbieta — mimo zastrzeżeń, jakie wysuwali przedstawiciele Kościoła angikańskiego — złożyła z mężem wizytę Ojcu św.

W ostatnich latach wobec złego stanu zdrowia swego ojca królowa często występowała w jego imieniu, dwukrotnie w uroczystościach czysto wojskowych. W imieniu pary królewskiej też podjęła z mężem ostatnią swą podróż do Australii i Nowej Zelandii przez Afrykę Wschodnią gdzie zaskoczyła ją śmierć ojca i gdzie dowiedziała się, że została władczynią.



W MUNDURZE HONOROWEGO DO WODCY PULKU GRENADIERÓW

KRÓL JERZY VI

Dokończenie ze str. 1

Interesowali się osobiście losem dośkoczonych zniszczeniami. Kilkakrotnie Jerzy VI odwiedził żołnierzy brytyjskich na froncie, był również we Włoszech, gdzie stały oddziały polskie pod wodzą gen. Andersa.

Król chorował na chorobę Buergera (zaburzenie w krążeniu krwi w nodze) i w r. 1949 musiał się poddać operacji z wynikiem pomyślnym. W ub.r. w maju stwierdzono u króla chorobę płucną, badania wykazały nowotwór w płucach i we wrześniu trzeba było operacyjnie usunąć całe płuco. Pomimo że operacja powiodła się i król wracał do sił, lekarze jednak wiedzieli, że choroba poczyniła dalsze postępy i że król nie ma przed sobą długiego życia. Król czuł się dość dobrze, zaczął wracać do swych obowiązków i ukazywać się publicznie. Ostatni raz widziano go, gdy na lotnisku zegnal odlatujących do Afryki królową Elżbietę i jej męża. W przeddzień zgonu połował cały dzień na zajęcie i lekko zmęczony udał się wcześniej na spoczynek. Zmarł spokojnie we śnie nad ranem 6 lutego b.r. na zawał serca, gdy skrzep przedostał się do aorty.

KRÓL JERZY VI I KATOLICY

Papież Pius XII na wiadomość o zgonie króla Jerzego VI przesał na ręce królowej wdowy wyrazy współczucia dla niej i dla całej rodziny królewskiej. Delegat Apostolski, Episkopat Anglii i Walli z J. Em. ks. kardynałem Griffinem na czele, Episkopat Szkocji i biskupi wszystkich krajów wchodzących w skład Brytyjskiej Wspólnoty Narodów przesłali swe wyrazy współczucia dla rodziny królewskiej, życzenia dla młodej królowej oraz wydal orędzie i rozporządzenia dotyczące modłów publicznych za duszę zmarłego władcy i za pomyślność rządów królowej Elżbiety II.

Z Watykanu przypomniano, że w ciągu 15 lat panowania Jerzego VI iłość katolików we wszystkich krajach wspólnoty wzrosła z 18 do 24 milionów. Prasa katolicka w W. Brytanii przypomina szereg kontaktów zmarłego króla z katolikami oraz fakty świadczące o zwolnieniu ustępującej praktyce robenia różnic między anglikanami i katolikami na rzecz tych pierwszych. Przypomniano m.in., że gdy w r. 1948 para królewska obchodziła swe srebrne gody, kardynał Griffin w swym wówczas wydanym liście wskazał na „godny podziwu przykład, jaki Ich Królewskie Moście dają swym poddanym narodom przez swe szczerze chrześcijańskie życie rodzinne”. W odpowiedzi na adres Hierarchii katolickiej z okazji małżeństwa królowej Elżbiety król wzkazał na zasługi katolików poniesione w czasie ostatniej wojny.

Od czasu Reformacji pięciokrotnie członkowie brytyjskiej rodziny królewskiej składali wizyty papieżom. I tak Edward VII jako książę Walli odwiedził Leona XIII, Edward VIII jako kr. Walli — Benedykta XV, król Jerzy V wraz z królową Marią złożył wizytę papieżowi Piusowi XI, którego zapewnił, że katolicy są najbardziej lojalnymi obywatelami Wspólnoty Narodów, nad którą panuje. Obecna królowa Elżbieta II jako następczyni tronu wraz z mężem złożyła oficjalną wizytę Papieżowi Piusowi XII w dniu 13.V. 1951. Papież spędził z nimi na rozmowie pół godziny a po audiencji para królewska oglądała zabytki Watykanu i zetknęła się z brytyjskimi księżmi i klerykami studującymi w Rzymie w kolegiach angielskich, szkockim i kanadyjskim. Poprzednio zaś ks. Małgorzata złożyła Papieżowi wizytę nieoficjalną.

Stolica Apostolska wysłała specjalną delegację na koronację Jerzego V w r. 1910. Na jej czele stał kardynał Pignatelli di Belmonte, a w skład jej wchodził wówczas 34 letni prałat E. Pacelli, obecny papież Pius XII. Na czele delegacji watykańskiej na koronację Jerzego VI w r. 1937 stał arcybiskup Pizzardo, obecnie kardynał.

PO ZGONIE KRÓLA

Podajemy szereg informacji o faktach, które nastąpiły po zgonie króla Jerzego VI, a które pozwalają zapoznać się ze sposobem funkcjonowania brytyjskiej monarchii konstytucyjnej.

W dniu zgonu króla po południu w pałacu św. Jakuba, dawnej siedzibie królów Anglii, zebrała się Rada Królewska, która ogłosiła wstąpienie na tron królowej Elżbiety. Królowa, która znajdowała się we wsch. Afryce w drodze do Australii natychmiast rozpoczęła podróż powrotną samolotem, mając do przebycia ponad 6 tys. km.

Isba Gmin, która się zebrała 6.II. na obrady nad polityką zagraniczną, odczytała się a wieczorem po ogłosze-

SŁOWO BOŻE

LEKCJA
(II Kor. 11. 19-33 i 12, 1-9)
Bracia! Radzi noszcie szalonych, będąc sami rozumnymi. Bo znosicie, gdy kto was w niewolę podbija, gdy kto was objada, gdy wyzyskuje, gdy się wynosi, gdy was kto po twarzy bije. Na moją niekorzyść to mówię, jakobyśmy w tym słabi byli. Z czego jednak kto śmie się chlubić (mówię jak szalony) odważam się i ja:

Hebrajczykami są, i ja. Izraelitami są, i ja. Potomstwem Abrahama są, i ja. Slugami Chrystusowymi są (jako niespełna rozumu mówię), daleko więcej ja. W trudach bez liczby, w więzieniach zbyt często, w chłostach ponad miarę, w niebezpieczeństwach śmierci — częstokroć. Od Żydów otrzymałem pięć razy po czterdzieści plag bez jednej. Trzykrotnie smagany różgami raz byłem kamienowany, trzy razy przeżyłem rozbicie się okrętu, dniem i nocą byłem na głębi morskiej. W podróżach czestych, w niebezpieczeństwach na rzekach, w niebezpieczeństwach od rozbójników, w niebezpieczeństwach od własnego narodu, w niebezpieczeństwach od pogan, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwach na pustyni, w niebezpieczeństwach na morzu, w niebezpieczeństwach wśród fałszywych braci. W pracy i mazole, w częstym niespaniu, w zimnie i nagości. Oprócz tego, co jest ponadto, jak codzienne naleganie na mnie i staranie o wszystkie kościoły. Któż się gorszy, żebym ja nie poniał? Jeśli można się chlubić, to ze słabości mojej chlubić się będę. Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który błogosławił jest na wieki, wie, że nie kłamie. W Damaszku namiestnik króla Aresta strzegł miasta Damascenczyków, aby mię pojąć. Ale przez okno w murze w koszu zostałem spuszczone i tak uszedłem z rąk jego.

Jeśli chęć się wypada, (choć nie jest to rzecz pożyteczna), przejdę do widzeń i objawień Pańskich. Znam człowieka w Chrystusie, który przed czterema laty (czy w cieie, nie wiem; czy poza ciałem, nie wiem; Bogu to wiadome) zachwycony był aż do trzeciego nieba. I wiem, że ten człowiek (czy w cieie, czy poza ciałem, nie wiem; Bogu to wiadome) zachwycony był do rajy i posłyszał tajemnicze słowa, których człowiekowi mówić się nie godzi. Z takie-

ni wstąpienia na tron nowej królowej wszyscy posłowie złożyli jej przysięgę wierności. Taką samą przysięgę złożyli parowie w Izbie Lordów. Młoda Królowa przybyła do Londynu wraz z mężem w dniu 7.II i zaraz po przybyciu przyjęła szereg dostojników państwowych. Tegoż dnia wieczorem premier Churchill wygłosił przez radio specjalne orędzie. W południe baterie artylerii oddały salwy po 56 strzałów, do strzału za każdy rok życia Zmarłego. W piątek 8.II o godz. 11 w pałacu św. Jakuba odbyło się zebranie Tajnej Rady Królewskiej na którym młoda królowa wygłosiła przemówienie o wstąpieniu na tron i złożyła przysięgę na wierność Kontytucji. Opuzczone do pół masztu flagi podniesiono. Przy dźwiękach fanfar i salwach strzałów armatnich heroldowie odczytali publicznie przed pałacem proklamację o wstąpieniu na tron królowej Elżbiety II. Proklamację tę odczytano następnie jeszcze w trzech punktach Londynu: na Charing Cross, przed Temple Bar w City oraz ze stopni gmachu Giedy. Podobne ogłoszenia nastąpiły w Windsorze, Edynburgu, w Walli i jeszcze kilku pun-

ktach kraju, jak również w krajach Wspólnoty. Po południu królowa Elżbieta udała się z mężem do pałacu w Sandringham, gdzie pożegnała zwłoki ojca. Trumnę po zamknięciu przewieziono do kościoła Marii Magdaleny opodal pałacu, gdzie pozostała do poniedziałku 11.II. Straż przy niej trzymała służba letna i pracownicy z majątku króla w Sandringham.

W poniedziałek 11.II zebrała się Izba Gmin, aby wysłuchać orędzia nowej królowej i uchwalić adresy do królowej, królowej matki i królowej babki. Parlament odroczył się do 19.II.

W WARSZAWIE

Kościół Zbawiciela w Warszawie ma być odbudowany według pierwotnego wzoru z wysokimi 76-metrowymi wieżami: jedna od strony ulicy Marszałkowskiej i druga od strony ulicy Mokotowskiej. Dach podniesiony zostanie do poprzedniej wysokości i pokryty miedzianą żółtą blachą, a nad samym środkiem kościoła powstanie, jak dawniej, piękna sygnatka.

SZEŚĆDZIESIĄTNICA

go chlubić się będę, z siebie natomiast chlubić się nie będę, chyba tylko ze słabości moich. Gdybym nawet zechciał się chlubić, nie byłbym bezrozumny, bo mówilibym prawdę. Ale wstrzymuję się, aby snać nie rozumiał kto o mnie więcej nad to, co we mnie widzi, albo co ode mnie słyszy. Abym się zaś dla wielkości objawień nie wynosił, dany mi jest bodziec ciała mego, anioł szatana, żeby mię policzkował. Dlatego trzykrotnie prosiłem Pana, aby ode mnie odstąpił, ale mi rzekł: Dostyc masz taski mojej, bo moc w słabości się doskonali. Rad tedy chlubić się będę ze słabości moich, aby moc Chrystusowa zamieszkała we mnie.

ciernie wzrosły wespół z nim i przygłuszyły je. A inne jeszcze padło na ziemię, na rozdajną i gdy wzrosło, wydało plon stokrotny. To mówiąc, wołał: Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha. Pytali go tedy uczniowie jego, co by to była za przypowieść. A on im rzekł: Wam dane jest poznać tajemnice królestwa Bożego, innym zaś przez przypowieści, aby „patrzyli, a nie ujrzeli i usłyszeli, a nie zrozumieli”.

Taką zaś jest przypowieść: Ziarnem jest słowo Boże. Przy drodze są ci słuchacze, do których potem przychodzi szatan i porywa słowo z serca ich, aby uwierzywszy, nie byli snać zbawieni. A na gruncie skalistym są ci, którzy posłyszawszy, z radością przyjmują słowo. Ale ci korzenia nie mają, wierzą do czasu a w chwili próby ustępują. To znowu, które padło między ciernie, oznacza tych, którzy posłyszeli, ale odchodząc, przez troski, bogactwa i rozkosze życia są przygluszeni i nie przynoszą owocu. Które jednak padło na ziemię dobrą, oznacza słuchaczy, w dobrym i szczerym sercu zachowujących słowo, którzy w wytrwałości owoc przynoszą.

E W A N G E L I A
(Łuk. 8. 4-15)

WOBEC POTOPU ZŁA

Brewiarz kapłański w modlitwach przeznaczonych na niedzielę Sześćdziesiątnicy i tygodni po niej mówi o Noem i o potopie. W czasach, gdy żył Noe, „wiele było złości ludzkiej na ziemi, a wszystka myśl serca była napięta ku złemu”, jak pisze Księga Rodzaju. A jak powiedział Pan Jezus, ludzie „w owym czasie przed potopem jedli i pili, żenił się i za mąż wydawali, aż do owego dnia, w którym Noe wszedł do arki i nie spostrzegli się, zanim nie nastąpił potop i nie pochłonął wszystkich”.

I to powtarza się stale: stale olaczają nas fale zła i zepsucia i zdają się zalewać dusze nasze. A Pan nasz nieraz zdaje się spać. Biegniemy przeto do Niego w modlitwie i wołamy: Panie, ratuj nas, giniemy.

W czasach dzisiejszych cały świat zalewają fale bezboźnictwa i pornografii i wdzierają się do dusz naszych przez obrazek, literaturę, piosenkę, teatr, kino, radio, telewizję, plaże, bezwstyd w ubiorach. Wszystkimi tymi sposobami diabeł i jego słudzy starają się wyrwać z serc naszych słowo

Boże, abyśmy nie byli zbawieni. I dobrze jest, jeśli wobec tego zalewu zła wołamy z Apostołami: Panie, ratuj nas, giniemy — bo, dopóki wołamy, jest to najlepszy znak, że brońmy się przed falami zła! Ale niejednego człowieka dopiero cierpienie potrafi obudzić i przypomnieć mu, że pobyt nasz na ziemi jest czasowy i skończy się, a wtedy trzeba będzie zdać sprawę z włodarstwa swego.

W potopie ocalało osiem osób z Noem głosicielem sprawiedliwości. I w każdym zalewie zła, czy o było w czasach upadku starożytnego świata, czy w czasach arianizmu, gdy cały świat przerażał się, spostrzegliśmy, że stał się arianskim, czy w czasach ruchu reformacyjnego, czy w czasie przewrotów końca wieku XVIII i początków wieku XIX — zawsze Bóg powołuje ludzi, którzy jak Noe „znajdują łaskę” u Niego, bo są jak on „sprawiedliwi i doskonali” i jak on „z Bogiem chodzą”. Arka Kościoła katolickiego płynie na wodach zburzonych — i szczęśliwi są ci, którzy w niej płyną.

KALENDARZYK

LUTY 1952

17 n	Sześćdziesiątnica, Flawiana b.m.
18 p	Symcyna b.m.
19 w	Konrada Pustelnika
20 s	Mildredy p.m., Leona b
21 c	Seweriana b.m.
22 p	Kat. św. Piotra z Antiochii
23 s	Piotra Damiana b. dK

KRONIKA KATOLICKA

Na audiencji prywatnej Papież przyjął ks biskupa Józefa Gawlinę. W stacji radiowej w Vendas Novas w Portugalii została poświęcona kaplica ku czci św. Gabriela Archanioła, który, jak wiadomo, jest patronem radiokomunikacji.

Wielki Berlin liczył przed II wojną światową 278 kościołów i kaplic katolickich. Pod koniec wojny jedynie 25 kościołów i kaplic było nieuszkodzonych; 39 zupełnie zniszczonych, 69 poważnie, 145 lekko uszkodzonych. Spośród tych ostatnich udośćponiono już dla nabożeństw 57 kościołów i 63 kaplice. W strefie sowieckiej ukończono odbudowę 37 kościołów i 19 kaplic.

KOMITET DLA SPRAW OŚWIATY POLAKÓW W WIELKIEJ BRYTANII

zawiadamia, że zamierza uruchomić w najbliższym czasie ostatni i skrócony Kurs

w Polskiej Szkole Rolniczej w Glasgowie

Termin rozpoczęcia Kursu zostanie ustalony w zależności od napływu zgłoszeń. W każdym razie Kurs rozpocznie się najpóźniej 1 marca 1952 i zakończy się 30 listopada 1952 r. O przyjęciu na Kurs mogą ubiegać się kandydaci w wieku od 16 do 23 lat, a byli członkowie Polskich Sił Zbrojnych lub P.K.P.R. w wieku do lat 35, zdolni do pracy fizycznej w gospodarstwie rolnym. Kandydaci będą poddani egzaminowi sprawdzającemu z języka polskiego, angielskiego, matematyki i wiadomości przyrodniczych w zakresie programu 6 klas szkoły powszechnej. Przyjęci na Kurs uczniowie, nie posiadający własnych środków utrzymania, będą mogli ubiegać się o stypendia w Komitecie dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii. Podania o przyjęciu na Kurs, wraz z załączonym własnoręcznie napisanym życiorysem oraz zaświadczeniem lekarskim, stwierdzającym zdolność do pracy w rolnictwie, należy i e z w l o c z n i e przesyłać do Wydziału Szkół Średnich Komitetu dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii, 72, Cadogan Square, London, S.W.1. O terminie egzaminu kandydaci zostaną zawiadomieni pisemnie.

GAZETA NIEDZIELNA

17 lutego 1952 r.

NIEMIECKA GRA

Kancelerz niemiecki, którego nazywają Lisem, miał niedługo przeprowadzić w Bundestagu w dniach 7 i 8 lutego. Chodziło o uchwałę w sprawie wzięcia przez Niemców udziału w obronie Europy. Gra, którą kancelerz prowadził przed stoczeniem w parlamencie walnej bitwy, była ryzykowna. Trzeba było kosztem stosunków z Zachodem stworzyć pozory bardzo twardego stanowiska Kancelerza w tej sprawie, uwzględniającego w pewnym stopniu nawet stanowisko socjalistycznej opozycji. Przyplisywano Kancelerzowi oświadczenie, że bez uprzedniego załatwienia sprawy Saary, przyjęcia Niemiec do Paktu Atlantycznego i zmniejszenia przywilejów wojsk mocarstw zachodnich na terenie Niemiec — parlament upoważnień nie uchwali.

Adenauer poszedł w tej grze tak daleko, iż pomimo zaprzeczeń stracił szansę wzięcia udziału w naradzie z trzema ministrami spraw zagranicznych w Londynie przed konferencją w Lizbonie, która ostatecznie o włączeniu Niemiec do Armii Europejskiej ma decydować. Żądania niemieckie usztywniły Zachód, ale pomogły kancelerzowi w wygraniu bitwy w Bonn, gdyż uchwała nastąpiła 204 głosami przeciw 156. Prawo tworzenia wojska kancelerz uzyskał a rezolucje polityczne będą go wzmacniać, stanowiąc przedmiot targów z Zachodem.

Trzeba będzie jednak wiele ustąpić, gdyż cały manewr zaniepokoił opinię na Zachodzie i nie przypadł mu do smaku, bo miał pozory szantażu. Poza tym duże wrażenie zrobił w tymże czasie ogłoszony w „New York Herald” artykuł Lippmana, który słusznie przepowiada, że gdy powstanie armia niemiecka, złożona z 10 do 20 dywizji, świetnie uzbrojonych przez Amerykanów, to wtedy dopiero Niemcy będą mieli decydującą rolę w rokowaniach dotyczących Europy wschodniej i Bałkanów. Wreszcie dziennikarz amerykański stawia kropkę nad „i”, gdy ostrzega Zachód, że z chwilą, gdy Niemcy przystąpią do tworzenia armii, pociągać ich będzie myśl posiadania wojska o dużej sile ofensywnej, tak by móc walczyć z Rosją przesunąć na teren Polski.

W sprawie tworzenia armii europejskiej przy udziale Niemców jest naszym obowiązkiem przyłączyć się do głosów ostrzegawczych francuskich i angielskich, których podstawą nie są jedynie przesłanki polityczne, ale i zrozumienie wymowy wskazywanych gospodarczego rozkwitu Niemiec w dobre kryzysów ekonomicznych w W. Brytanii i Francji.

W okresie gdy te dwa państwa mają szalone deficyty w swych bilansach handlowych, Zachodnie Niemcy osiągnęły w 1951 r. w swym bilansie całkowitą równowagę zwiększając w 1951 roku swój wywóz o 75 procent. Wartość wywozu niemieckiego osiągnęła sumę 3½ milarda dolarów.

Król Jerzy VI był, od chwili układu sojuszniczego brytyjsko-polskiego zawartego w Londynie w przeddzień niemał wojny, 25 sierpnia 1939, Głową Państwa sprzymierzonego z Polską.

Gen. Sikorski, stanawszy 30 września 1939 w Paryżu na czele Rządu R. P., przybył już 14 listopada wraz z ministrem spraw zagranicznych p. Zaleskim do Londynu na podstawowe narady polityczno-wojskowe i był nazajutrz w południe gościem Króla i Królowej.

Gdy, po klęsce Francji, w połowie r. 1940, władze Rzeczypospolitej, Prezydent, Rząd i Dowództwo Naczelne, na zaproszenie Króla i Rządu J. Kr. Mości, przeniosły się do W. Brytanii, Prezydenta Władysława Raczkiewicza, który z częścią członków Rządu przybył z Libourne na krążownik brytyjskim „Arcturion” do Plymouth a stamtąd pociągiem do Londynu, witał 22 czerwca 1940 na dworcu Paddington osobiście Król Jerzy VI.

Wkrótce potem, w pierwszą rocznicę wybuchu wojny 1 września 1939 między Polską a Niemcami a 3 września 1939 między W. Brytanią a Niemcami, w odpowiedzi na pismo Prezydenta Rzeczypospolitej, Król Jerzy VI przesłał oświadczenie następującej treści:

„Szczere wdzięczny jestem Waszej Ekszellencji za słowa przesłane mi z okazji rocznicy wejścia w wojnę Wielkiej Brytanii. Ja i wszystkie ludy moje tutaj i za morzami pełni jesteśmy podziwu dla odwagi i niezłomnego ducha Narodu Polskiego. Dumni jesteśmy, że mamy po naszej stronie w obronie tych wysp bohaterów polskich siły zbrojne: armię, lotnictwo i marynarkę, które okryły się sławą w ciągu 12-u miesięcy. Wspaniałe czyni: lotników polskich w bitwach powietrznych, toczących się obecnie nad Anglią, przynoszą nową chwałę orężowi polskiemu. Wiem, że z Waszą Ekszellencją w ostatecznym pokonaniu tyranii, zagrażającej obecnie Europie i w pełni ufam, że Polska odzyska niepodległość a Europa wolność. — JERZY, R.I.”

Liczne i bardzo serdeczne styczeńskiej Króla Jerzego VI

W kraju o 40 milionach ludności, takiej jaką jest ludność niemiecka, o największym potencjale wojenno-gospodarczym na kontynencie, w okresie zimnej wojny z Rosją Sowiecką i w warunkach, w jakich ta wojna toczona jest na terenie Niemiec — nie można za pomocą przepiśców i umów nadrzędnego europejskiego organu stworzyć skutecznej, politycznej kontroli nad wojskiem wynoszącym 10 dywizji lub więcej. Wojsko takie będzie zawsze ze strony niemieckiej narzędziem politycznych nacisków w rokowaniach z Zachodem. Jego powstanie przyczyni się do wzrostu nastrojów nacjonalistycznych i roszczeń reindykacyjnych.

Teoretyczne zyski militarne, które Zachodowi w ewentualnej wojnie z Rosją Sowiecką pomoc wojska niemieckiego może zapewnić, nie mogą zrównoważyć tych politycznych niebezpieczeństw, które stworzenie wojska niemieckiego za sobą pociąga i szkód wynikających z nastrojów, które w Polsce wywołać musi sprzymierzenie się z wojskami niemieckimi tych państw, które były sojusznikami Polski.

J. Z.

Z polskiego punktu widzenia

KRÓL JERZY VI Z POLAKAMI

z Polskimi Siłami Zbrojnymi zaczęły się od początku wojny.

Naprzód zetknął się Król z polską marynarką wojenną, której jednostki przedostały się zaraz po wybuchu wojny do portów W. Brytanii. Już we wrześniu 1939 r., gdy podwodny O. R. P. „Wilk” wyostał się z Bałtyku na wody brytyjskie, dowódca jego, ś. p. kmdr. ppor. Bogusław Krawczyk, przedstawiony został Królowi, a był także później w gronie sojusznicznych oficerów morskich, którzy odznaczyli się w działaniach

Król Jerzy VI przybył do Ambasady R.P. przy Portland Place, jako gość Prezydenta i Ambasadora, na śniadanie, w ciągu którego i po którym rozmawiał z członkami Rządu Polskiego, poruszając sprawy polskie z uderzającą ich znajomością.

W chwili zgonu gen. Sikorskiego, 4 lipca 1943, Król skierował do Prezydenta R.P. wyrazy:

„Jestem głęboko wstrząśnięty, Pańskie Prezydencie, wiadomością o tragicznej śmierci Generała Sikorskiego i tych osób, które odbywały z Nim podróż w służbę własnego Kraju. Mo-

przeciw Niemcom, 8 maja 1945, Król przesłał Prezydentowi Rzeczypospolitej Wł. Raczkiewiczowi takie słowa:

„Na zawsze będzie zaszczytem dla Polski, że stawiła ona, samotnie, o-
pór przeważającym siłom niemieckim napastnika. Narody brytyjski i polski wspólnie walczyły przeciw swemu brutalnemu wrogowi w ciągu przeszło pięciu tragicznych lat straszliwych cierpień ludności polskiej, której od-
waga i wytrzymałość wzbudziły moją serdeczną podziw i współczucie. Dzielnicy polscy żołnierze, marynarze i lotnicy walczyli obok moich sił zbrojnych w wielu częściach świata, wszędzie uzyskując ich wysokie uznanie. W szczególności my, w tym kraju, z wdzięcznością wspomniamy to, co zdołali lotnicy polscy w bitwie o Wielką Brytanię, uznanej przez cały świat za przełomową w tej wojnie. Jest moją najszczęśliwszą nadzieją, że Polska za całą swą odwagę i ofiarność uzyska nagrodę w dziele pokoju i współpracy międzynarodowej, wobec którego stoją teraz Narody Sprzymierzone. — JERZY, R.I.”

Ś. p. Król Jerzy VI był sercem z Polską.

St. St.

KONDOLENCJE POLAKÓW

OSWIADCZENIE PREZYDENTA R.P.
Polska Agencja Telegraficzna podała z Londynu, że P. Prezydent Rzeczypospolitej w związku ze śmiercią króla Jerzego VI złożył następujące oświadczenie:

„Ciężki los dotknął naród, z którego gościnności korzystają tysiączne rzesze uchodźców polskich. Jestem przekonany, że będę wyrazicielem uczuć obywateli Rzeczypospolitej, gdy wyrażę serdeczne współczucie dla Rodziny Królewskiej i dla całego Narodu Brytyjskiego.

„Szczególnie Polacy przeżywający w W. Brytanii i z bliska obserwujący wyjątkowe przywiązanie, jakim był otoczony zmarły monarcha we wszystkich krajach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, zdają sobie sprawę z tego, że w tym wypadku miłość poddanych do swego Króla była wyjątkowa. Król Jerzy VI był bowiem nie tylko Głową Państwa, ale nade wszystko człowiekiem uosabiającym cały geniusz Narodu Brytyjskiego, służąc mu za wzór wszelkich cnót rodzinnych i obywatelskich.

„Nie wątpię, że do wyrazów współczucia Rodacy moi przagną w tej chwili dodać uczucia wdzięczności za gościnność, jakiej doznają na ziemi brytyjskiej — za możliwość wolnego życia i pracy, za opiekę z której korzystają na równi z obywatelami brytyjskimi oraz za możliwość rozwoju swego życia kulturalnego, zwłaszcza przez udostępnienie im nauki w polskich szkołach i w angielskich zakładach naukowych.”

DEPEZA RADY POLITYCZNEJ
Rada Polityczna przesłała na ręce ministra spraw zagr. p. A. Edena depeszę nast. treści:

„Rada Polityczna przyjęła w głębokim bólu smutną wiadomość o zgonie szlachetnego monarchy, w czasie panowania którego Polska i W. Brytania były związane sojuszem i związane braterstwem droni.

„Rada Polityczna, będąc pewna iż wyraża prawdziwe uczucia narodu polskiego, prosi o przyjęcie wyrazów współczucia dla J.K.M. Królowej, dla Domu Królewskiego i dla całego Narodu Brytyjskiego w ich żalobie.”

DEPEZA GEN. W. ANDERSA

Generał Anders wysłał do P. Winstona Churchilla depeszę, w której prosi premiera o przekazanie Królowej Elżbiecie, Królowej Matce i Rodzinie Królewskiej wyrazów najgłębszego współczucia żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, którzy w ostatniej wojnie walczyli wspólnie z brytyjskimi wojskami lądowymi, morskimi i powietrznymi.

POGRZEB

11.II.1952 trumna ze zwłokami króla przewieziono specjalnym pociągiem do Londynu. W Londynie orszak pogrzebowy przeszedł z dworca Kings Cross do Westminster Hall (w gmachach parlamentu). Trumnę wleźono na lawecie armatniej, za trumną szli brat króla ks. Gloucester, ks. Filip — małżonek królowej oraz wysocy urzędnicy dworu. Po przybyciu do Westminster Hall, gdzie czekała królowa wraz z resztą rodziny królewskiej, rząd, lordowie i posłowie, odbyło się krótkie nabożeństwo. Trumnę umieszczono na wysokim katafalku, a na niej złożono koronę, jabłko i berło królewskie. Przez wtorek, środek i czwartek przed trumną zmarłego władcy przedefilowało kilkaset tysięcy osób, oddając mu ostatni hołd. W piątek 16.II odbył się pogrzeb, z Westminsteru na dworzec Paddington, skąd specjalny pociąg odwiózł trumnę do zamku Windsor. Tam w kaplicy św. Jerzego król Jerzy VI spoczął obok swoich przodków.



KRÓLEWSKIE ODWIEDZINY

Król Jerzy VI w mundurze brytyjskiego marszałka lotnictwa, rozmawia z gen. Sikorskim w czasie swych odwiedzin u polskich lotników w Anglii w r. 1940.

wojennych, przyjęty przez Króla i Królowę. W październiku 1939 przedstawiony był Królowi vice-admirał Świrski, który przybył wówczas do Wielkiej Brytanii jako szef kłobownictwa marynarki. Jeszcze w tym roku, 8 grudnia 1939 Król Jerzy VI odwiedził Polską Marynarkę Wojenną i m.in. odbył przegląd jej Szkoły Podchorążych. W r. 1941, po stracie bohaterskiego O.R.P. „Gromu”, Król osobiście przyjął wysokie odznaczenie bojowe dowódcy kmdr. por. Aleksandrowi Huliewiczowi.

Polskich lotników odwiedził Król Jerzy VI, któremu towarzyszył gen. Sikorski, już w początku bitwy o W. Brytanię. 20 sierpnia 1940, na lotnisku w Bramcote w 300 i 301 Dywizjach Bombowych. Niezwykłym czynem polskich Dywizjonów Myśliwskich dał Król świadectwo w podanym wyżej piśmie do Prezydenta R.P. z 3 września 1940 w pierwszej rocznicę wojny. Wkrótce potem, 26 września 1940, był Król w słynnym Dywizjonie 303 im. T. Kościuszki. Dnia 27 stycznia 1941 Król i Królowa odwiedzili w towarzystwie gen. Sikorskiego, Dywizjony Bombowe 300 i 301 na lotnisku Swinley, a następnie 304 i 305 na lotnisku w Seysterston.

Odwiedziny Króla i Królowej w wojsku polskim w Szkocji, 7 marca 1941, w towarzystwie gen. Sikorskiego, objęły spory pas stanowisk polskich Glamith — Barrylink — Carnoustie — Forfar, a owiewała je pogodna serdeczność Króla w rozmowach.

Dnia 3 maja 1941, w dzień święta narodowego polskiego,

je Narody dzieląc będą w pełni żalobę z Narodem Polskim po bolesnej stracie, które dotknęła Polaków wskutek zgonu tak zasłużonego Obywatela i Żołnierza. Położył on wybitne zasługi nie tylko dla własnego kraju, lecz także dla wspólnej sprawy Zjednoczonych Narodów. W imieniu Narodów Brytyjskich proszę Pana o przyjęcie moich najbardziej szczerych wyrazów współczucia. — JERZY R.I.”

W lipcu 1944 r., po Monte Cassino i tuż po Anconie w walkach II Korpusu pod dowództwem gen. Andersa, gdy był tam także ówczesny wódz naczelny gen. Sosnkowski;

„... 23 lipca — pisze gen. Anders w swych wspomnieniach (str. 253) — gen. Sosnkowski i ja otrzymaliśmy zaproszenie do wzięcia udziału w przyjęciu gen. Collingwooda przez 8-ą Armię. Tym generałem Collingwood był król angielski Jerzy VI, który przybył do żołnierzy frontu włoskiego. W Perugii 26 lipca zostałem przedstawiony Królowi i miałem zaszczyt odbyć z nim krótką rozmowę. Następnie, po przeglądzie i defiladzie wojsk gościna w kwaterze polowej gen. Alexandra, wieczorem obiad u gen. Leese, dowódcy 8-ej armii. W czasie obiadu grała orkiestra 2-go Korpusu. Królowi podobała się szczególnie melodia piosenki o Lwowie. „A gdybym się kiedyś urodził miał znów, to tylko we Lwowie”. Gen. Alexander i gen. Leese znali ją prawie na pamięć z wielu odwiedzin Korpusu, śpiewaliśmy razem, Król nucił. Nuty i słowa (fonetycznie) tej piosenki przesłałem później Królowi dla przypomnienia tego wieczoru.”

Niespełna w rok później, w dniu zwycięstwa w wojnie

TEODOZJA LISIEWICZ

„CHODZĘ — I MYLĘ POGONIE”

Mam teraz psa. Używam tego określenia tylko po to, żeby czytelnik wiedział o co chodzi. Jeden ze znajomych zaopiniował bowiem, że nie jest to pies w całym tego słowa znaczeniu, tylko skrzyżowanie psa z rybą (sumem — siliuris glanis), zaś drugi posunął się dalej precyzując, że skrzyżowanie jest, owszem, ale zaby z jarmnikiem. I ta opinia najbardziej trafiła mi do przekonania, bo tak właśnie wyglądał pekińczyk. Moim zdaniem, również teoria Darwina miałaby tu szerokie zastosowanie, bowiem ten nos włośczoney w grubą czaszki, ten zatroskany wyraz twarzy, te fałdy policzków biegnące od oczu ku brodzie, te oczy żywe, bacznie ślezące — wszystko świadczy, że kiedyś, bardzo wiele lat temu, jakaś małpa musiała tu wściubić swoje trzy grzesze, a może... może prawdą jest, co powiadają o tym kocie? Płotka twierdzi przeciw uparcie, że przez skojarzenie psa z kocem chytre Chińczyki wyprodukowały stworzenie nazywane „pekińczyk”.

Mój pies, który właściwie nie jest psem, tylko szczeniakiem (a to już zasadniczo zmienia jego charakter), ma w sobie bądź co bądź dużo cech kocich. Kijling pisał o „kocie, który chodził swoimi drogami”. Moja mała wybiera właśnie te drogi, które są jej drogami. W domu jest przemiła, spokojna, cicha, przytem pogodna i wesółta, „jak Laszka synowa” z wiersza Mickiewicza. Nie ma z nią kłopotu, ale prowadzi życie własne — jak kot, który jest, kręci się po pokoju, ale stanowi odrębną jednostkę, z życiem domu nie mającą nic wspólnego. Ta odrębność i skłonność do indywidualnych przeczyna zaznacza się jeszcze wyraźniej podczas przechadzek. Nie ma o tym mowy, żeby przela tam gdzie ja idę. Chodzi tylko tam, gdzie ona chce, czyli sidi fakcie nie mogę pójść tam, gdzie zamierzam. Jeżeli powie sobie, że pójdzie na lewo, gdy ja chcę na prawo, to zebym ją nawet wózkim wiozła, choćby po godzinie, wróci przecież do swego 38 równoleznika wtedy, gdy myślę, że dawno o nim zapomniała. Tak, w tym coś jest jednak... To zastanawia... Upór jej i siła narzucania woli zdumiewa — skąd u tak małego stworzenia bierze się tyle stanowczości? Nie to, że zaprze się czterema łapami o chodnik, ale w momentach przełomowych, t.j. naprężeniu linewki do granic wytrzymałości, kiedy musi ustąpić władze siły wyższej, prosto władcze się na grzbiecie i ja zamiast psa ciągnę ciężki, bezwolny tobolek, który w dotknięciu łapie na mnie pogodnym ckiem, by sprawdzić efekt manewru. To zwraca uwagę, a nie jest przyjemnie dawać z siebie przedstawienie na ulicy przechodniom, którzy w takich wypadkach są zupełnie wyczuji z wszelkich uczuć, zatrzymują się i śmieją — z człowieka.

Nie z psa — z człowieka. Nie z psa — z człowieka. Innej rady nie ma, tylko trzeba małą brnąć na ręce. Bardzo to lubi. W naturze równowaga była doskonale zachowana. Mała jest wielkości trzech pięści, z tego dwie przypadają na głowę i łwią grzywę, a tylko trzecia stanowi tułów, tylne nóżki i ogon. Przy takim uporze ten rodzaj proporcji jest szczęśliwym rozwiązaniem. Sytuacja

mogłaby się przedstawiać gorzej, gdyby była rozmiarów wilka. Przekonałam się, że właściciel pekińczyków łączy jakiś zły klanowy. Na ulicy zatrzymują się nawzajem, wymieniają spostrzeżenia, wiek wychowanków, okres, w którym sięrsę koto uszu, czyli t.zw. „pióra”, nabierają pełnego wyrazu i z wielką przyjemnością przysłuchują się narzekaniom na upór cudzego pekińczyka. Tymczasem upór jest właśnie jego najbardziej charakterystyczną cechą. Bez uporu nie byłby już prawdziwym pekińczykiem. Niedawno spotkała na ulicy Angielka (prowadziła trzy dorosłe zwłoty wehny peknińskiej), zajmująca się hodowlą, a więc mająca do czynienia nie z jednym, ale z całą organizacją rodzinną, opowiadała mi, że czasem musi użyć duzo taktu, by swojego autorytetu pani domu nie narażać na szwank z powodu — uporu pekińczyków. Ale poza tym, w codziennym życiu, trudno o miłsze i miłej sprawujące kłopotu stworzenia.

Bardzo lubię psy i w ciągu tych 11 lat, jakie dzieła mi nie od posiadania mojego ostatniego w Polsce, stale brakowało mi psiego towarzystwa. Jeszcze w wojsku, przez krótki czas miałam miłego przybłęde Wicka, który w 75 procentach był foxterierem. Naprawdę, warto byłoby jego wspomnieć osobny felieton poświęcić. To był nadzwyczajny pies! Wychowany na stacji lotniczej posiadał wszelkie zalety, jakie tylko niezdyscyplinowany żołnierz może posiadać. Niestety niedługo cieszyłam się jego kompanią.

Towarzystwo psa ma swój specjalny urok. Jego inteligencja, przyzwyczajenia dostosowane do ludzkich, rozmowa prowadzona oczami, zgranie się z ludzkiem bytowaniem, dają nieskończone pole do obserwacji, odsłaniając szeregi tajemnic natury, opartych na takiej samej psychologii, jak ludzka. Tylko prosiłszy, uczciwiej, niezającej pogmatwanych kompromisów, ku jakim ludzie się skłaniają. Ludzi nieuczciwych spotyka się zawsze, psa nieuczciwego — nigdy.

Nie mając własnego psa, obserwowałam cudze. Znam wszystkie w swojej dzielnicy. Wiem, że pod nr. 18 mieszka małutka, biały (pekińczyk), zwany przemiennie „szmata”, jednakże wolają go Toby. Ale „szmata” jest słowem bardzo obrazującym jego aparycję. Ma białą, długą sierść, a krótkie nóżki, z tego powodu jest zawsze brudny, a że lubi kłaść się na środku chodnika, więc z daleka podobny jest raczej do rzuconej szmaty od podłogi, aniżeli do siebie. Ma twarz pijaka, karciarza i zawalidrogi, co zgadza się ze stanem faktycznym. Nigdy nieczego i nikogo się nie boi, zna przepisy angielskie i ustosunkowanie się ludzi do zwierząt, więc wchodzi spokojnie, bez pośpiechu pomiędzy jadące auta, wiazi do wszystkich śmietników i zna każdy podejrzany zaułek pomiędzy rynnami domów a strzyżonym ogrodem. Lubię go, ale za towarzysza dla swojego psa nigdy bym go nie wybrała.

Pod Nr. 44 mieszka wiekzych rozmiarów pudel, również biały, ale ten znów myty,

czesany i trefiony nie wiem ile razy dziennie, nosi się bardzo dumnie, odgraniczając się swoją wyfiokowaną fryzurką od reszty sąsiadów w sposób arogancki, nawet wyzywający co widac, że sprawa mu wyjątkową przyjemność.

Pod 16-ym gnieździ się dwóch bandytów — para gładkich, złotych bokserów, o strasznych, gansterowskich mordach. Zimno się robi, gdy po myśle, co by się działo, gdyby miały bron przy sobie. Są energiczne, szybkie w ruchach i decyzyj, biorą czynny udział w życiu swoich gospodarzy; każde zażalenie molołu samochodowego, przybicie listonosza, obcinanie krzaków w ogrodzie, stanowi niestety nie ciekawy problem, od którego ludzko-inteligentnych oczu odejść nie można. Nie zajmują ich psy sąsiadów, ani przechodnie — w ogóle psi świat nie leży już w ich sferze interesów. Przypominając czasem starszoklastę, który wolany przez młodszych do szlachetnej gry „w guziki”, odpowiada z wyższością: „Nie mogłem zajety jestem logarytmami! I tak nie wiecie co to znaczy!” Jedynym marzeniem spoza kłota wewnętrznego — jeszcze dwa lata temu — by chociaż dopaść tego czarnego kota, który siadywał na murze tuż koło mego podwórka. Tymczasem kot, stary gracz doświadczony, jednym tylko susmem swego wielkiego, lśniącego ciała przenosił się nie dalej, jak o dwa, trzy centymetry z bokserowskiego zasięgu i stantąd to, z tej niewielkiej, ale jakże niedosiegalnej wysokości, spoglądał na nie swymi agrestywnymi oczami, w których spokoju kryła się cała tajemnica Sfinksa i światła zaginionego Egiptu. Bokserom ślina tylko ciekła z pyska i cichymi same kłapały w takt cichym jękom moralnego cierpienia.

Jednak raz... dwa lata temu... Przyjechała wezwana stacja ratunkowa dla zwierząt, chi-pud 18-tym upatrzywszy sobie — nic nie pomogło. Po trzech tygodniach stary Tomasz należący jak akcesorium do porosłego winem podwórka, doznał w szpitalu zywota, zabierając z sobą nikomu nie przekazaną wiedzę, jaka tylko fanatcom mogła być kiedyś wiadoma. Bandyci wracając czasem na miejsce zbrodni, tęskniąc wzrokiem spoglądają na mur opustoszały. Osowiali i nadrali powagi ruchów. Łatwo poznać, że stracili cel życia. (A trzeba wam było...?) Ostatnio jednak, jak zdotałam zauważyć, już zapominają. Czas zawsze leczy rany, choćby najboleśniejsze...

Wszystko mi wiadomo o psach sąsiednich. Wiem, że Leon, piękny pekińczyk porosity pelą jedwabiu, jest bardzo nerwowy i żądnemu psu zbliżyć się do niego nie wypada (oczy mu zaraz wylażą z rąch). Wiem, że Sherry, imię swoje zawdzięczający sierści o barwie hiszpańskiego wina, ma tylko jedno oko, ponieważ drugie stracił w bójece z biszkopek. Biszkopeków było dużo — jak z zalem jego panii wspomina — ale jeden tylko własnoręcznie przez nią rzucony stał się taką kością niezgody między chińczykami, że Sherry wolął ryzykować oko, aniżeli stracić prawo do ciastka. Wiem, że panna Czau-Czau, należąca do Mrs.

Lee z pod 8-go, wyjdzie niedługo z Czau-Czau z Bayswater i z tego powodu Czau-Czau z Bayswater prowadzony jest na nocy, by w kawalerskim stanie dotrwał do związku z Leówiną. Mijając Nr. 8 melancholijnym wzrokiem spogląda na ogród pabny, cicho coś pod nosem podśpiewując. Wiem, że prześlizna spaniolka z Leinster Terrace, złotowłosa i słodka jak angielska lady, 26-go tego miesiąca wieczorem (wszystko w kalendarzu jej panii zanotowane), wyda na świat nowe pokolenie spanioli tak saksońskich, że nawet Wilhelm Zdobywca nie może być posadzony o interwencji. Obecnie pełna dosłowności magiczństwa przechadza się po Hyde Parku spoglądając na ludzi oczyma przepojonymi miłością i zaufaniem, nadstawiając swoją wąską, angielską czaszkę każdej gwałczącej ją ręce. Wszystko wiem o psach okolicznych i dlatego nie jest dla mnie tajemnicą, że jarmnik nieszczęśliwy naprzeciw nazywają się Niki. I tu zaczyna się właściwa opowieść.

Niki jest bardzo rasowy, a wiadomo, że im bardziej rasowy jarmnik, tym bardziej przypomina krokodyla. Jest niezmiernie miły i zna wszystkie arkany życia chodnikowego, nie jak każda męska pokraka, jest bardzo kochliwy i jak każdy mężczyzna o za krótkich nogach nie posiada samokrytycyzmu, zwracając uwagę jedynie na kobiety smukłe i wyskie. Niki powinien siedzieć w ogrodku przy wózku dziecinnym i od czasu do czasu zaszczekać, gdy ktoś obcy do ogródka wchodzi. Tymczasem Niki nie ma na to czasu, bo zawsze jest zakochany. Od wczesnego rana można go widzieć, jak truchcikiem sypie wzdłuż ulicy, a że lata już posiada i z nimi pewną tuszę, więc sunie boczkiem, w czym bardzo mi przypomina jednego z przeswów jednej lwowskiej instytucji. Godzinami wystaje pod Nr. 8 u wrót Leówinnej, to pod 18-tym upatrzywszy sobie — „miłoda szmatę!”, wyzywającą zęną „szmaty starej” (jaki para taki kram!), to znów przemiennie swoje uczucia pod Nr. 10 w nadziei, że przeciw ktoś się zlituje. Może brama peknie i zamknięta piękność wpadnie w ramiona wyczekującego komandosa. Gdy wszystkie marzenia już zawadzą, przynosi westchnienia pod furkę tuż koło mnie mieszkającej starej, rozylej mopsy, która ani na niego, ani na nikogo uwagi nie zwraca, bo nie prócz niesionej w pysku gazety już jej nie obchodzi. Jest jeszcze Lassie zwycięzca u wylotu podwórka, wielka czarna i dziwnie nieprzystępna. Psu, czy człowiekowi, w odpowiedzi na uprzejme słowo, ot, zwykle powitanie, wargi czarne tylko odchyła w delikatnym skurcu wąskiego pyska, że aż ochotę się traci do nawiązania znajomości z taką prostaczką. Jednak ostatnio Niki i do niej zapłonął uczuciem swego spragnionego miłości serca. Ponieważ to blisko, dosłownie naprzeciw jego ogródka, już dnie i noce nawet spał na progu Lassie w czym dzielnie zaczął mu sekundować niewiadomego pochodzenia i miejsca zamieszkania, nagle w te okolice przybyły pół-foxterier, o oczach jak dwa topazy i takich samych łatach na podrasowanej głowie. Gospodyni Lassie, kobie-

ła nieskomplikowana, kawalerów, oblała wodą. Dantejskie sceny rozgrywały się na podwórku, bo to i sfozer z pod 7-gi z weżem gumowym do mycia wozów, przychodził gospodyni z pomocą. I niewiaholijnym wzrokiem spogląda na ogród pabny, cicho coś pod nosem podśpiewując. Wiem, że prześlizna spaniolka z Leinster Terrace, złotowłosa i słodka jak angielska lady, 26-go tego miesiąca wieczorem (wszystko w kalendarzu jej panii zanotowane), wyda na świat nowe pokolenie spanioli tak saksońskich, że nawet Wilhelm Zdobywca nie może być posadzony o interwencji. Obecnie pełna dosłowności magiczństwa przechadza się po Hyde Parku spoglądając na ludzi oczyma przepojonymi miłością i zaufaniem, nadstawiając swoją wąską, angielską czaszkę każdej gwałczącej ją ręce. Wszystko wiem o psach okolicznych i dlatego nie jest dla mnie tajemnicą, że jarmnik nieszczęśliwy naprzeciw nazywają się Niki. I tu zaczyna się właściwa opowieść.

Niemożliwością stało się wyjście na przechadzkę, a trudno znów małą trzymać w domu, szczególnie w wieku szkolnym, kiedy to żadna godzina edukacji nie może być znarnowana. Wiadomo bowiem, że „czym skorupka za młodu nasiąknie...” a nie mogłam pozwolić, by tą skorupką miał się stać dywan w moim pokoju. Zaczęłam więc myśli pogoni.

Rano otwierałam drzwi i z prawdziwą ludzką, obłądną gościnnością zapraszałam obu kawalerów do środka. Zaczynały się pryunki, ceremonie, różne „kto pierwszy?”, zjawiane się w preceli — wreszcie wpadał jak burza. Wleczas mała, trzymana na rękę, wyplwiała jak żagłówka na wole wody polwówka, gdy drzwi zatrzasnęły się za goźmi. Dobrze, ale co dalej? Jak długo można obce psy zapraszać do siebie bez ponoszenia konsekwencji? Ile razy dadzą się one wziąć na kawał? Nawet zakochane psy nie są wcale tak naiwne i nie tracą rozumu zupełnie, w przeciwnym razie. Ponieważ mała jest uosobieniem łagodności i bez historii, sama zostaje w domu, jednego dnia idąc do dentysty zamkniętą ją na górę, chcąc szybko i bez wstrząsów dojść na miejsce. (Wiadomo, że dentysty są szalenie punktualni i tylko ci pacjenci, którzy przyjdą o pięć minut za wcześniej, za karę muszą później czekać po dwie godziny). Niki i foxterier zostali przed moim domem na posterunku. Szłam więc sobie spokojnie zieleńią Hyde Parku. Nagle oglądałam się za siebie. Co to znaczy przeczuć! W przeczony odległości kilku kroków ode mnie, ujrzałam kolebiącą się, podobną do angielskiej parówki, wrzionąwą postać Nika, który „bocikiem, bocikiem przed panem Przelocim”, sunął truchcikiem przezowskim, wciągając w siebie luby, jemu tylko zaporobny zapach, jakim kostium mojej był przesiąknięty: obryły i-nej koci, psiego sucharka, kurzu i — matoj. Nie zawsty-

W. A. CHEBDA

W DOMU MOJEGO DZIADKA

Po wielu latach zacieraają się w pamięci wspomnienia z dzieciństwa, chwytam więc bodaj okrucy i notuję to, co zdolałam zapamiętać.

Do najmilszych wspomnień mojej młodości zaliczam dnie, które spędziłem u mojego dziadka. Jeździłem tam z moimi rodzicami w okresie świąt.

Podróż trwała pół dnia pociągiem, natomiast dojazd z ówczesnego kolejowego ledwo parę minut. Do Kłominy dojeżdżaliśmy od nas często t.zw. kurierem, tam jednak trzeba było czekać przeszło dwie godziny na dalsze połączenie do pociągu lokalnego, odchodzącego w kierunku Horodnika.

Przeżabawny był to pociąg, jesuwający się z szybkością konnego zaprzęgu, złożony z osobowych i towarowych wagonów. Dymił, sapał, kopcł i świstał w przeraźliwie melancholijny sposób. Musiał długo odpoczywać na stacji Gwoździec, gdzie podobnie jak i na innych przysiankach, odczepiano i doczepiano wagony z różnorodnym ładunkiem.

Wreszcie, około godziny ósmej wieczorem dojeżdżaliśmy do celu. Zawsze dobrze wyobroczone konie ze stajni mojego dziadka wiozły nas po kamienistej pokuckiej drodze. Najczęściej w zmroku nocny dostrzegaliśmy rodzinną kaplicę grobową — trójkopulastą cerkiew, chaty wiejskie i w końcu baszłę, strzegącą wjazdu do dworu. Widzę dotąd długą sien w świetle nalfowych lamp. Stać wchodziło się do bardzo czubszego jadalnego pokoju, o pięknej dębowej i jasionowej woskowanej posadzce i dużych ciemnych obrazach.

Pierwsze nasze kroki kierowałyśmy ku dużemu z trziny „thank you”. Widocznie mi taka go radość ogarnęła, że jak mim grecki puścił się w tany, całą krasą swoich przysiadów i łobułowem chcąc oczarować mnie, którą obrał sobie za tefelową. Skowycał przytem, jak tylko skrzywzone zwierzęta skowycał. Ludzie przystanęli, dzieci rzuciły zabawki, matki przestały karmić niemowlęta herbata, tylko dwie pary zanurzone w trawę luz przy ścieżce, trwały dalej w niemocy. Każdy psi ewenement jest w Anglii gorąco przyzwany, więc zaraz posypały się pytania: „Chory? Inny pies go ukąsił? Ktoś go uderzył?” Nim zdolałam wyjaśnić, już spod ziemi zjawiał się foksik, dotychczas swoje skoki piłkowe i przemiłkiwie pienta, na jednym tonie prowadzone, do solówki Nika. Szybkiem krokiem ruszyłam przed siebie. Nie pomogło. Foxterier przegonił mnie i ctażając wilczym kręgiem ujadł, patrząc mi prosto w twarz oczami koloru łepazu, gdy Niki, ta foka w płasach, człapał w pół i świecił zwrotach tanecznych, skowycząc, skowycząc...

Ulica była blisko. Przystanek. Wsiadłam do autobusu. Kondektor zanim dał znak sfozerowi zapytał: „A psy zostawia panii same?” „Nie moje!” — odpowiedziałam. „Ale patczą za panią!” — „Nie znam to obce psy”. Dał znak sfozerowi, patrzył na mnie uważnie i sprzedał bilet chłodno, nawet nie powiedziałszy

plecionemu i na zielono malowanemu folelowi, na którym siedział mój dziadek. Tam następował obrządek przywitania. Pamiętam, że postać mojego dziadka wzbudzała we mnie zawsze uczucie niezwykłego poszanowania, połączonego z lekciem. Wszak w istocie był on bardzo surowego i stanowczego usposobienia. Mimo to jednak późny wiek złagodził tę jego dawną surowość, zwłaszcza w stosunku do dzieci.

Mój dziadek bardzo źle widział wskutek operacji oczu, gdy się więc do niego podchodziło, przybijał twarz i zawsze prawie powtarzał: „Niechże ja ci się przypatrzę, figlarze!” — poczem całował w czoło i zadawał jeszcze inne pytania. Na tym kończył się ceremoniał przywitania.

Zasiadano do kolacji. Podał ją służący Jan. Zachwycały mnie zawsze jego wspaniale wyczesane bokobrody i świetnie wyprasowane, wysoko zapięty surdut. Podczas wieczernych dzieci musiały milczeć, a nawet starsi nie bardzo odważali się mówić w obecności dziadka. Wśród nich znajdowały się jeszcze dwie ważne osoby. Był to mój stryj Leszek i ciocka Modesta.

Stryj administrator majlątkiem, ciocka zarządzała domem i od czasu śmierci mojej babki pielęgnowała starszka ojca.

Stryj Leszek, tak jak mój dziadek, był z usposobienia surowy, ale pod twardym stalowym panczerem kryło się złote serce. Niskiego wzrostu, z twarzą o dużych czarnych wąsach i szarobrunatnych oczach, miał w swym wyrazie coś przypominającego zbika. Mówił mało, krótkimi zwięzłymi zdaniem, rzadko obiecywał, gdy go o coś prozono, ale

zawsze więcej zrobił, niż się spodziewano. Wstawał co najmniej o czwartej rano, więc też odpowiednio wcześniej kładł się spać. Ślawnie było w rodzinie jego powiedzenie, gdy spostrzegł się, że mija godzina, o której zwykł się być udawać na spoczynek. Zawsze przedtem chrząknął i ostentacyjnie palczył na zegar, poczem wytkował: „Jest dziewięta na zegarze, nie wiem jak kto, ale ja idę spać”.

Na to „dictum” nawet często mój dziadek ruszał się z miejsc. Często się jednak zdarzało, że zebranie przeciągało się do godziny dziesiątej. Działo się wówczas, gdy „dziadzio” przypomni sobie jakieś zdanie z dawnych czasów i pragnął opowiedzieć je młodym. Miał on niezwykły dar opowiadania, a mimo swoich dziewięćdziesięciu paru lat pamięć wprost wspaniała. Pamiętał dobrze powstanie listopadowe, znał ludzi, którzy widzieli króla Stanisława Augusta i Kościuszkę. W roku „wiosny narodów” (1848) wstąpił w związku małżeńskie z córką zwaną z pulkowników, który zginął wskutek rany odniesionej w czasie obrony Zamocnia (1831 r.).

Zdając sobie zawsze w pełni sprawę z wagi obowiązków, które ciążyły na nim z racji jego pochodzenia, brał dziadek mój w latach 1848 i 1863 udział w życiu narodowym, a później w życiu politycznym Galicji, o czym też czasem wspominał. Zwykle około godziny dziesiątej ciocka Modesta dawała znak do udania się na spoczynek. Wszyscy kolejno całowali rękę dziadka i wychodzili do sieni, gdzie czekał Jan z zapaloną latarnią, by parę kroków przeprowadzić gości do oficyny. Mimo to ta krótka przeprawa była niebez-

pieczna, ze względu na złe psy podwórzowe, spuszczone na noc.

W piętrowej, mruwanej oficynie znajdowało się kilka wygodnie urządzonych gościnnych pokoi, mieszkanie stryja Leszka i kancelaria — a dalej pracownia i kuchnia. Śład zaczął się szereg stajen i zabudowań folwarcznych. Były to masywne kamienne budynki, przypominające trochę stare świątynie egipskie.

Już od wczesnego rana budził nas ciężki mrowy turkot wozów, którym wożono wtyłki buraczane na karmę dla bydła. Wozy te zaprzężone były w białe węgierskie woły i siołnej budowy, z ogromnymi rogami. Zrywałem się z łóżka i biegłem do okna, by je podziwiać.

Ciocka Modesta nie lubiła, gdy goście przed godziną dziewięć rano zjawiali się w jadalnym pokoju, trzeba więc było ściśle się do tego stosować. Przed śniadaniem zło się na „dzień dobry” do „dziadzia”. Tylko on jeden miał przywilej picia kawy w łóżku. Towarzystwo mi ulubiony jarmnik, czuły na cukier, o którym się bardzo energicznie dopominał.

Pokój sypialny „dziadzia” przygalał do jadalni. Nigdy nie wchodziłem z równie wielkim szacunkiem, jak właśnie do tego, śmiało bowiem nazywać go było można „sanktuarium rodziny”. Dużo, szerokie okna rzucały jasny słup światła na ściany, zapamiętane portretami. Znałem je na pamięć. Portret mojego prapradziada, „regimentarza”, znanego siłacza, który wedle podania w bitwie pod Parkanami (w r. 1683) schwył ciekającego na koniu babę tureckiego a podniósłszy

jedną ręką, osadził przed sobą i w ten sposób przywiódł przed króla Jana III — zapoczątkował tą galerię portretów różnych panów i pań w charakterystycznych, sylowych strojach.

Piękny szesnastowieczny gobelin, wiszący nad mahoniowym, w stylu pierwszego cesarstwa, łóżkiem, duży hełmowy krucyfiks i rozłożyste, z epoki kościuszkowskiej, meble, dopełniały urządzenia.

Leżąc zawsze mienasycona ciekawości dziecka kazała mi iść dalej, szedłem więc przez jadalnię pokój do tak zwanej „salki”, gdzie na białych ścianach dominowały cztery duże płótna. Nad staroswieckim fortepianem, o pięknym wycięciu w kształt harfy, wisiał w złote ramy oprawny portret pedzła starego Rejchana, przedstawiający mojego dziadka z dwoma młodszymi braćmi, w tak bardzo charakterystycznych dla połowy dziewiętnastego stulecia strojach myśliwskich. Na przeciwległej ścianie, nad ciężkimi meblami z epoki I cesarstwa, wisiał portret trzech sióstr mojego dziadka, wykonany przez tego samego artystę. Delikatność pedzia Rejchana, tak właściwa jego epoce, pema była uroku i jakże przewyższała swoją techniką wielu portretistów współczesnych!

Z ciemnego rogu pokoju wylały natomiast dwa ponure portrety. Jeden z nich to jakaś siedemnastowieczna Kopia, przedstawiająca podobiznę sekretarzem, a drugi to portret, o ile pamiętam, sułtana Achmeta II, przysłany podobno w prezencie mojemu prapradziadowi. „regimentarza” po odstąpieniu wojsk tureckich z Podola.

(Dokończenie nastąpi)

Nie z tego. Nawet tej przestrzeni pokonać nie mogę. Wychodząc z domu, kieruję się w stronę przeciwną, na Queensway, wiadom do kolejki podziemnej, ustalwszy poprzednio z kontrolerem, że czeredą za mną sunącą zatrzyma. Kontroler jest człowiekiem wyrozumiałym, ojem licznę rodzinny i właścicielem starej, zasłużonej dla swego społeczeństwa sukki, więc idzie mi bardzo na rękę. Schodząc na peron, jeszcze słyszę jego pobukiwania i rozsądne tłumaczenia wobec Nika, fokska i pło-wego wódcęgi...

Wysiadam na Notting Hill Gate, z przyzwyczajenia rozglądam się dokoła i wolno, spokojnie idę w stronę ogrodu, gdzie dostaje się wejściem bocznym, pomiędzy dwiema tabliczkami, z których każda wyraźnie podkreśla, kto jest gentlemanem, a kto prawdziwą lady. Bardzo załuję, że moi trzej muszkietierowie słowa „gentlemen” przezywać nie mogą.

Chodzę więc po Londynie i myślę pogoni. Kiedy to się skończy? Doświadczeni ludzie utrzymują, że nigdy, ponieważ mała jest wyjątkowo urodziwa, mimo wybitnego podobieństwa do zaby i jarmnika, nie mówiąc już o małpce, która swoje trzy grosze musiała w picwotną, kocia kombinację, wściubić.

z produktami, na jakie towaryzujące psy sobie pozwalały. Doprowadzona raz do ostatniej rozpaczy, korzystając z czynowego ruchu, wpadam nieostrzeżona do wielkiego magazynu (bądź co bądź skład duży, zajmujący cztery i każde piętra, nie licząc restauracji). Poslanowiałem przejechać i potem wymknąć się tu grugim wyjściem. Po kwadransie wagańska się od lady do lady, nagle z daleka, w dziele koszyków, tac i przyborów stołowych, mignęło mi towarzysze wechem, wpadł na ślady. Ponieważ zatrzymał się przed sterłą tac pięknie emaliovanych w celu zgola przeciwnym zasadom handlowym, jukkółwiek na wymianie świadczeń polegającym, chwyciłam małą mocniej i już bywsiym na pierwszym piętrze, skąd wsiadłszy do windy (śląd się urywa) znalazłam się na piętrze drugim (dział mebli i tkanin brokatowych). Obmetchnęłam. Sprzedawca też. Byłam jedynym klientem na całą wielką przestrzeń zastawioną łózkami, kozetkami, fotelami i łapczanami, które służą w dzień za stół pingpongowy, a w nocy do spania. Czereda gnala wkoło mnie, dając nielada wyraz swemu zdacowoleniu. Kartofle zaczęłam kupować przez swoich znajomych, ponieważ jarzyniarstwo zawsze nie zgodził się na takie sponiewieranie worków

zapytał, czym może służyć. Spojrzałam na szafę wielką jak młockarnia myśląc, że bardzo by mi się przydała, choć nie było by jej gdzie postawić, a c pieniądze też trudno i powiedziałam, że szukam lyżeczki do herbaty. Nieprawda. Lyżeczkę taką dawno już miałam, ale nie mogłam przecież wyznaczyć, że schroniam się tu myląc pogonię, w dodatku przed fokssem, który te tace emaliowane... Choć cprawda, Anglik by mnie zrozumiał, ale nie chciałam ryzykować — teraz tytu cudzoziemców dostają pracę w magazynach! Uśmiechnął się ponownie i wyjaśnił, że to o piętro niżej, w dziele naczyn kuchennych. Nie zesłam schodami. Użyłam windy (śląd się urywa) i lawirując pomiędzy zwojami linowcem mierzonymi przez dwóch subiektyw na wypadek, gdyby ktoś jeden jard chciał kupić, ominęłam dział kuchenny i drugim schodami, przez sklep spożywczy, gdzie zapach sera i środków dezynfekcyjnych może zabić nawet błogą wca samicego futerka, wyszłam na ulicę Cisca. Teren czyszczoney. Skreślałam w przecznice. Za rogłem powitał mnie przeraźliwy jazgot pło-wego wódcęgi i taniec indiańskij kiuchy-jarmnika...

Mieszkan tuż koło Kensingtonskiego Parku. Przejść ode mnie w cień drzew i zieloność trawników, to to samo, co z ulicy Mochnackiego we Lwowie przejść na plac Fredry.

TEODOZJA LISIEWICZ

„CHODZĘ — I MYLĘ POGONIE”

Mam teraz psa. Używam tego określenia tylko po to, żeby czytelnik wiedział o co chodzi. Jeden ze znajomych zaopiniował bowiem, że nie jest to pies w całym tego słowa znaczeniu, tylko skrzyżowanie psa z rybą (sumem — *silurus glanis*), zaś drugi posunął się dalej precyzując, że skrzyżowanie jest, owszem, ale żaby z jamnikiem. I ta opinia najbardziej trafiła mi do przekonania, bo tak właśnie wygląda pekińczyk. Moim zdaniem, również teoria Darwina miałaby tu szerokie zastosowanie, bowiem ten nos włożony w głąb czaszki, ten zatroskany wyraz twarzy, te fałdy policzków biegnące od oczu ku brodzie, te oczy żywe, bacznie ślezące — wszystko świadczy, że kiedyś, bardzo wiele lat temu, jakaś mała musiała tu wściubić swoje trzy grzesze. A może... może prawdą jest, co powiadają o tym kocie? Płotka twierdzi przecież uparcie, że przez skojarzenie psa z kotem chytre Chińczyki wyprodukowały stworzenie noszące miano „pekińczyka”.

Mój pies, który właściwie nie jest psem, tylko suczką (a to już zasadniczo zmienia jego charakter), ma w sobie bądź co bądź dużo cech kocich. Kijling pisał o „kocie, który chadzał swoimi drogami”. Moja mała wybiera właśnie te drogi, które są jej drogami. W domu jest przemiła, spokojna, cicha, przytem pogodna i wesola, „jak Laszka synowa” z wiersza Mickiewicza. Nie ma z nią kłopotu, ale prowadzi życie własne — jak kot, który, jest, kręci się po pokoju, ale stanowi odrębną jednostkę, z życiem domu nie mającą nic wspólnego. Ta odrębność i skłonność do indywidualnych poczynań zaznacza się jeszcze wyraźniej podczas przechadzki. Nie ma o tym mowy, żeby poszła tam gdzie ja idę. Chodzi tylko tam, gdzie ona chce, czyli siłą faktu nie mogę pójść tam, gdzie zamierzam. Jeżeli powie sobie, że pójdzie na lewo, gdy ja chcę na prawo, to żebym ją nawet wózkami wiozła, choćby po godzinie, wróci przecież do swego 38 równoleżnika wtedy, gdy myślę, że dawno o nim zapomniała. Tak, w tym coś jest jednak... To zastanawia... Upór jej i siła narzucania woli zdumiewa — skąd u tak małego stworzenia bierze się tyle stanowczości? Nic to, że zaprze się czterema łapami o chodnik, ale w momentach przełomowych, t.j. naprężenie linewki do granic wytrzymałości, kiedy musi ustąpić wobec siły wyższej, poprostu kładzie się na grzbiecie i ja zamiast psa ciągnę ciężki, bezwolny tobołek, który w dołku typie na mnie pogodnym ckiem, by sprawdzić efekt manewru. To zwraca uwagę, a nie jest przyjemnie dawać z siebie przedstawienie na ulicy przechodniom, którzy w takich wypadkach są zupełnie wyzuci z wszelkich uczuć, zatrzymują się i śmieją — z człowieka. Nie z psa — z człowieka! Innej rady nie ma, tylko trzeba małą brać na ręce. Bardzo to lubi.

W naturze równowaga była doskonale zachowana. Mała jest wielkości trzech pięści, z tego dwie przypadają na głowę i lwią grzywę, a tylko trzecia stanowi tułów, tylnie nogi i ogon. Przy takim uporze ten rodzaj proporcji jest szczęśliwym rozwiązaniem. Sytuacja

mogłaby się przedstawiać gorzej, gdyby była rozmiarów wilka.

Przekonałam się, że właściwie pekińczyków łączy jakiś zwyczaj. Na ulicy zatrzymują się nawzajem, wymieniają spostrzeżenia, wiek wychowanków, okres, w którym sierść koło uszu, czyli t.zw. „pióra”, nabierają pełnego wyrazu i z wielką przyjemnością przysłuchują się narzekaniom na upór cudzego pekińczyka. Tymczasem upór jest właśnie jego najbardziej charakterystyczną cechą. Bez uporu nie byłby już prawdziwym pekińczykiem. Niedawno spotkałam na ulicy Angielka (prowadziła trzy dorosłe zwalę wężny pekiński), zajmująca się hodowlą, a więc mająca do czytania nie z jednym, ale z całą organizacją rodzinną, opowiadała mi, że czasem musi użyć dużo taktu, by swojego autorytetu pani domu nie narazić na szwank z powodu — uporu pekińczyków. Ale poza tym, w codziennym życiu, trudno o mięsz i mniej sprawiające kłopotu stworzenia.

Bardzo lubię psy i w ciągu tych 11 lat, jakie dzielą mnie od posiadania mojego ostatniego w Polsce, stale brakowało mi psiego towarzysztwa. Jeszcze w wojsku, przez krótki czas miałam miłego przybłądę Wickę, który w 75 procentach był foxterierem. Naprawdę, warto byłoby jego wspomnienie osobny felieton poświęcić. To był nadzwyczajny pies wychowany na stacji lotniczej posiadał wszelkie zalety, jakie tylko niedyscyplinowany żołnierz może posiadać. Niestety niedługo cieszyłam się jego kompanią.

Towarzystwo psa ma swój specjalny urok. Jego inteligencja, przyzwyczajenia dostosowane do ludzkich, rozmowa prowadzona oczami, zgranie się z ludzkim bytowaniem, dają nieskończone pole do obserwacji, odstawiając szeregi tajemnic natury, opartych na takiej samej psychologii, jak ludzka. Tylko prościej, uczciwszej, nieznaającej pogmatwanych kompromisów, ku jakim ludzie się skłaniają. Ludzi nieuczciwych spotyka się zawsze, psa nieuczciwego — nigdy.

Nie mając własnego psa, obserwowałam cudze. Znam wszystkie w swojej dzielnicy. Wiem, że pod nr. 18 mieszka małutka, biały (pekińczyk), zwany przeze mnie „szmatą”, jekolwiek wołają go Toby. Ale „szmata” jest słowem bardziej obrazującym jego aparycję. Ma białą, długą sierść, a krótkie nogi, z tego powodu jest zawsze brudny, a że lubi kłaść się na środku chodnika, więc z daleka podobny jest raczej do rzuconej szmaty od podłogi, aniżeli do siebie. Ma twarz pijaka, karciarza i zawalidrogi, co zgadza się ze stanem faktycznym. Nigdy niczego i nikogo się nie boi, zna przepisy angielskie i ustosunkowanie się ludzi do zwierząt, więc wchodzi spokojnie, bez pośpiechu pomiędzy jadące auta, wchodzi do wszystkich śmietników i zna każdy podejrzany zaułek pomiędzy rynkami domów a strzyżonym ogrodem. Lubie go, ale za towarzysza dla swojego psa nigdy bym go nie wybrała.

Pod Nr. 44 mieszka większych rozmiarów pudel, również biały, ale ten znów myty,

czesany i trefiony nie wiem ile razy dziennie, nosi się bardzo dumnie, edgancizując się swoją wyfiokowaną fryzurką od reszty sąsiadów w sposób arogancki, nawet wyzywający co widac, że sprawia mu wyjątkową przyjemność.

Pod 16-tym gnieździ się dwóch bandytów — para gładkich, złotych bokserów, o strasznych, gansterowskich mordach. Zimno się robi, gdy pomysł, co by się działo, gdyby miały broń przy sobie. Są energiczne, szybkie w ruchach i decyzji, biorą czynny udział w życiu swoich gospodarzy; każde załączenie motoru samochodowego, przybycie listonosza, obcinanie krzaków w ogrodzie, stanowi niesłychanie ciekawy problem, od którego ludzko-inteligentnych oczu oderwać nie można. Nie zajmują ich psy sąsiadów, ani przechodnie — w ogóle psi świat nie leży już w ich sferze interesów. Przypominają czasem starszoklasistę, który wołany przez młodszych do szlachetnej gry „w guziki”, odpowiada z wyższością: „Nie mogę! zajęty jestem logarytmanii. I tak nie wiecie co to znaczy!” Jedynym marzeniem spoza koła wewnętrznego — jeszcze dwa lata temu — by choć raz dopaść tego czarnego kota, który siadywał na murze tuż koło mego podwórka. Tymczasem kot, stary gracz doświadczony, jednym tylko usem swego wielkiego, lśniącego ciała przenosił się nie dalej, jak o dwa, trzy centymetry z bokserkiego zasięgu i stamtąd to, z tej niewielkiej, ale jakże niedosiągalnej wysokości, spoglądał na nie swymi agrestowymi oczami, w których spokoju kryła się cała tajemnica Sfinksa i światła zaginionego Egiptu. Bokserom ślina tylko ciekła z pyska i szczęki same kłapały w takt cichym jękami moralnego cierpienia.

Jednak raz... dwa lata temu... Przyjechała wezwana stacja ratunkowa dla zwierząt, chirurg przeprowadził operację — nic nie pomogło. Po trzech tygodniach stary Tomasz należący jak akcesorium do porośniętego winem podwórka, dokonał w szpitalu żywota, zabierając z sobą nikomu nie przekazaną wiedzę, jaka tylko faracnom mogła być kiedyś znana. Bandyci wracają czasem na miejsce zbrodni, tęsknym wzrokiem spoglądają na mur opustoszały. Osowiali i nabrali powagi ruchów. Łatwo poznać, że stracił cel życia. (A trzeba wam było...?) Ostatnio jednak, jak zdołałam zauważyć, już zapominają. Czas zawsze leczy rany, choćby najboleśniejsze...

Wszystko mi wiadomo o psach sąsiednich. Wiem, że Leon, piękny pekińczyk porośnięty pelą jedwabiu, jest bardzo nerwowy i żadnemu psu zbliżyć się do niego nie wypada (oczy mu zaraz wyłażą ze strachu). Wiem, że Sherry, imię swoje zawdzięczający sierści o barwie hiszpańskiego wina, ma tylko jedno oko, ponieważ drugie stracił w bójce z biszkoptem. Biszkoptów było dużo — jak z zalem jego pani wspomina — ale jeden tylko własnoręcznie przez nią rzucony stał się taką kością niezgody między chińczykami, że Sherry wolał ryzykować oko, aniżeli stracić prawo do ciastka. Wiem, że panna Czau-Czau, należąca do Mrs.

Lee z pod 8-go, wyjdzie niedługo za Czau-Czau z Bayswater i z tego powodu Czau-Czau z Bayswater prowadzony jest na smyczy, by w kawalerskim stanie dotrwał do związku z Lecówną. Mijając Nr. 8 melancholijnym wzrokiem spogląda na ogród pabny, cicho coś pod nosem podśpiewując. Wiem, że prześlizgnęła spaniolka z Leinster Terrace, złotowłosa i słodkoka jak angielska lady, 26-go tego miesiąca wieczorem (wszystko w kalendarzu jej pani zanotowane), wydała świat nowe pokolenie spaniolów tak saksońskich, że nawet Wilhem Zdobywca nie może być posądzony o interwencję. Obecnie pełną dostojności matczyniństwa przechadza się po Hyde Parku spoglądając na ludzi oczyma przepojonymi miłością i zaufaniem, nadstawiając swoją wąską, angielską czaszkę każdej głaszczącej ją ręce. Wszystko wiem o psach okolicznych i dlatego nie jest dla mnie tajemnicą, że jamnik mieszkający naprzeciw nazywa się Niki. I tu zaczyna się właściwa opowieść.

Niki jest bardzo rasowy, a wiadomo, że im bardziej rasowy jamnik, tym bardziej przypomina krokodyla. Jest niezmiernie miły i zna wszystkie arkany życia chodnikowego, nie jak każda męska pokraka, jest bardzo kochliwy i jak każdy mężczyzna o za krótkich nogach nie posiada samokrytycyzmu, zwracając uwagę jedynie na kobiety smukłe i wyskie. Niki powinien siedzieć w ogródku przy wózku dziecięcym i od czasu do czasu przeczekać, gdy ktoś obcy do ogródka wchodzi. Tymczasem Niki nie ma na to czasu, bo zawsze jest zakochany. Od wczesnego rana można go widzieć, jak truchcikiem sypie wzdłuż ulicy, a że lata już posiada i z nimi pewną tuszę, więc sunie boczkami, w czym bardzo mi przypomina jednego z prezosów jednej lwowskiej instytucji. Godzinami wystaje pod Nr. 8 u wrót Lecówny, to pod 18-tym upatrzywszy sobie „młodą szmatę”, wyzywającą żonę „szmaty starej” (jaki pan tak kram), to znów przenosi swoje uczucia pod Nr. 10 w nadziei, że przecież ktoś się zlituje. Może brama pęknie i zamknięta piękność wpadnie w ramiona wyczekującego komandosa. Gdy wszystkie marzenia już zawodzi, przenosi westchnienia pod furtkę tuż koło mnie mieszkającej starej, rozłytej inopsy, która ani na niego, ani na nikogo uwagi nie zwraca, bo nie prócz niesionej w pysku gazety już jej nie obchodzi. Jest jeszcze Lassie żyjąca u wylotu podwórka, wielka, czarna i dziwnie nieprzystępna. Psu, czy człowiekowi, w odpowiedzi na uprzejme słowo, ot, zwykle powitanie, wargi czarne tylko odchyła w delikatnym skurczu wąskiego pyska, że aż ochotę się traci do nawiązania znajomości z taką prostaczką. Jednak ostatnio Niki i do niej zapłonął uczuciem swego spragnionego miłości serca. Ponieważ to blisko, dostownie naprzeciw jego ogródka, już dnie i noce nawet spędzał na progu Lassie w czym dzielnie zaczął mu sekundować niewiadomego pochodzenia i miejsca zamieszkania, nagle w te okolice przybyły pół-foxterier, o oczach jak dwa topazy i takich samych łatach na podrasowanej głowie. Gospodyni Lassie, kobie-

ta nieskomplikowana, kawalerów oblała wodą. Dantejskie sceny rozgrywały się na podwórku, bo to i szofer z pod 7-go z węzłem gumowym w micia wozów, przychodził gospodyni z pomocą. I niewiadomo do czego by grubiaństwo tych dwojga ludzi doprowadziło, gdyby nie...

Niki ujrzał moją małą i świat się dla niego skończył. Zwykle kochał się w znacznie wyższej od siebie, tym razem jednak coś się stało. Jak piorun z jasnego nieba — amor od pierwszego wejrzenia. Zniknęła piękność z pod 8-go, 10-go i 16-go, Lassie mogła była przechodzić tam i z powrotem przed jego nosem — Niki widział tylko moją pekinke.

Co gorsza, ujrzał ją również i topazowy foxterier. Zaczęły się więc teraz wyczekiwanie pod bramą, zasadzki pod murami porośniętym winem, madrygały poranne i wieczorne serenade, ciągnięte cichym skowytaniem przy pobrząkiwaniu w słuny magistrackiego medalu i skówek metalowych obroży; przyklaskiwania ogonem o bruk, uderzenia kastanietami pazurów — jednym słowem, zaczęły się wszystkie męki Werthera, zupełnie przez ludzki egoizm niedocenione.

Niemożliwością stało się wyjście na przechadzkę, a trudno znów małą trzymać w domu, szczególnie w wieku szkolnym, kiedy to żadna godzina edukacji nie może być zmarnowana. Wiadomo bowiem, że „czym skorupka za młodu nasiąknie...”, a nie mogłam pozwolić, by tą skorupką miał się stać dywan w moim pokoju. Zaczęłam więc myśleć pogonie.

Rano otwierałam drzwi i z prawdziwie ludzką, obłudną gościnnością zapraszałam obu kawalerów do środka. Zaczynały się prynuki, ceremonie, różne „kto pierwszy?”, związanie się w precelki — wreszcie wpałał jak burza. Wówczas mała, trzymająca na ręku, wypływała jak żaglówka na wolne wody podwórka, gdy drzwi zatrząskiwały się za gośćmi. Dobrze, ale co dalej? Jak długo można obce psy zapraszać do siebie bez ponoszenia konsekwencji? Ile razy dadzą się one wziąć na kawał? Nawet zakochane psy nie są wcale tak naiwne i nie tracą rozumu zupełnie, w przeciwieństwie do przecięlnego mężczyzny.

Ponieważ mała jest uosobieniem łagodności i bez hysterii sama zostaje w domu, jednego dnia idąc do dentysty zamknęłam ją na górce, chcąc szybko i bez wstrząsów dojść do miejscy. (Wiadomo, że dentyści są szalenie punktualni i tylko ci pacjenci, którzy przyjdą o pięć minut za wcześnie, za karę muszą później czekać po dwie godziny). Niki i foxterier zostali przed moim domem na posterunku. Szłam więc sobie spokojnie zielenią Hyde Parku. Nagle oglądałam się za siebie. Co to znaczy przeczucie! W przeczuciu odległości kilku kroków ode mnie, ujrzałam kolebiącą się, podobną do angielskiej parówki, wrzcionowatą postać Nika, który „boczek, boczek przed panem Półockim”, sunął truchcikiem przesosowskim, wciągając w siebie luby, jemu tylko znany zapach, jakim kostium nój był przesiąknięty: obryzanej kości, psiego sucharka, kurzu i — malej. Nie zawsty-

W. A. CHEBDA

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

W DOMU MOJEGO DZIADKA

Po wielu latach zacierają się w pamięci wspomnienia z dzieciństwa, chwytam więc bodaj okrucy i notuję to, co zdołałem zapamiętać.

Do najmilszych wspomnień mojej młodości zaliczam dni, które spędziłem u mojego dziadka. Jeździłem tam z moimi rodzicami w okresie świąt.

Podróż trwała pół dnia pociągami, natomiast dojazd z dworca kolejowego ledwo parę minut. Do Kołomyi dojeżdżaliśmy od nas często t.zw. kurierem, tam jednak trzeba było czekać przeszło dwie godziny na dalsze połączenie do pociągu lokalnego, odchodzącego w kierunku Horodenki.

Przezabawny był to pociąg, posuwający się z szybkością konnego zaprzęgu, złożony z osobowych i towarowych wagonów. Brudny i zakopcony staroświecki parowóz nie mógł uciągnąć długiego szeregu wagonów. Dymił, sapał, kopał i świstał w przeraźliwie melancholijny sposób. Musiał długo odpoczywać na stacji Gwoździec, gdzie podobnie jak i na innych przystankach, odczepiano i doczepiano wagony z różnorodnym ładunkiem.

Wreszcie, około godziny ósmej wieczorem dojeżdżaliśmy do celu. Zawsze dobrze wyobroczone konie ze stajni mojego dziadka wiozły nas po kamienistej pokuckiej drodze. Najczęściej w zniroku nocy dostrzegałem rodzinną kaplicę grobową, trójkopułastą cerkiew, chaty wiejskie i w końcu basztę, strzegącą wjazdu do dworu. Widzę dotąd długą sien w świetle naftowych lamp. Stąd wchodziło się do bardzo obszernego jadalnego pokoju, o pięknej dębowej i jasionowej woskowanej posadzce i dużych ciemnych obrazach.

Pierwsze nasze kroki kierowałyśmy ku dużemu z trzciny

plecionemu i na zielono malowanemu fotelowi, na którym siedział mój dziadek. Tam następował obrządek przywitania. Pamiętam, że postać mojego dziadka wzbudzała we mnie zawsze uczucie niezwykłego poszanowania, połączonego z lękiem. Wszak w istocie był on bardzo surowego i stanowczego usposobienia. Mimo to jednak późny wiek złagodził tę jego dawną surowość, zwłaszcza w stosunku do dzieci.

Mój dziadek bardzo źle widział skutek operacji oczu, gdy się więc do niego podchodziło, przybijał twarz i zawsze prawie powtarzał: „Niechże ja ci się przypatrzę, figlarzu” — poczem całował w czoło i zadawał jeszcze inne pytania. Na tym kończył się ceremoniał przywitania.

Zasiadano do kolacji. Podawał ją służący Jan. Zachwycały mnie zawsze jego wspaniałe wyczesane bokobrody i świetnie wyprasowany, wysoko zapięty surdul. Podczas wieczery dzieci musiały milczeć, a nawet starsi nie bardzo odważali się mówić w obecności dziadka. Wśród nich znajdowały się jeszcze dwie ważne osoby. Był to mój stryj Leszek i ciotka Modesta.

Stryj administrował majątkiem, ciotka zarządzała domem i od czasu śmierci mojej babki pielegnowała starszka ojca.

Stryj Leszek, tak jak mój dziadek, był z usposobienia surowy, ale pod twardym stalowym pancerzem kryło się złote serce. Niskiego wzrostu, z twarzą o dużych czarnych wąsach i szarobrunatnych oczach, miał w swym wyrazie coś przypominającego zbika. Mówił mało, krótkimi zwięzłymi zdaniem, rzadko obiecywał, gdy go o coś proszono, ale

zawsze więcej zrobił, niż się spodziewano. Wstawał co czwarte rano, więc też odpowiednio wcześniej kładł się spać. Sławne było w rodzinie jego powiedzenie, gdy spozstrzegł się, że mija godzina, o której zwykł się być udawać na spoczynek. Zawsze przedtem chrząknął i ostentacyjnie patrzył na zegar, poczem wyrokował: „Jest dziewiąta na zegarze, nie wiem jak kto, ale ja idę spać”.

Na to „dictum” nawet często mój dziadek ruszał się z miejsca. Często się jednak zdarzało, że zebranie przeciągało się do godziny dziesiątej. Działo się to wówczas, gdy „dziadzio” przypominał sobie jakieś zdarzenie z dawnych czasów i pragnął opowiedzieć je młodym. Miał on niezwykły dar opowiadania, a mimo swoich dziewięćdziesięciu paru lat pamięć wprost wyśmienitą. Pamiętał dobrze powstanie listopadowe, znał ludzi, którzy widzieli króla Stanisława Augusta i Kościuszkę. W roku „wiosny narodów” (1848) wstąpił w związku małżeńskie z córką jednego z pułkowników, który zginął wskutek rany odniesionej w czasie obrony Zamocścia (1831 r.).

Zdając sobie zawsze w pełni sprawę z wagi obowiązków, które ciążyły na nim z racji jego pochodzenia, brał dziadek mój w latach 1848 i 1863 udział w życiu narodowym, a później w życiu politycznym Galicji, o czym też czasem wspominał. Zwykle około godziny dziesiątej ciotka Modesta dawała znak do udania się na spoczynek. Wszyscy kolejno całowali rękę dziadka i wychodzili do sieni, gdzie czekał Jan z zapaloną latarnią, by parę kroków przeprowadzić gości do oficyny. Mimo to ta krótka przeprawa była niebez-

pieczna, ze względu na złe psy podwórzowe, spuszczone na noc.

W piętrowej, murowanej oficynie znajdowało się kilka wygodnie urządzonej gościnnych pokoi, mieszkanie stryja Leszka i kancelaria — a dalej pracownia i kuchnia. Stąd zaczynał się szereg stajen i zabudowań folwarcznych. Były to masywne kamienne budynki, przypominające trochę stare świątynie egipskie.

Już od wczesnego rana budził nas ciężki miarowy turkot wozów, którymi wożono wtyłki buraczane na karmę dla bydła. Wozy te zaprzężone były w białe węgierskie woły potężnej budowy, z ogromnymi rogami. Zrywałem się z łóżka i biegłem do okna, by je podziwiać.

Ciotka Modesta nie lubiła, gdy goście przed godziną dziesiątą rano zjawiali się w jadalnym pokoju, trzeba więc było ściśle się do tego stosować. Przed śniadaniem szło się na „dzień dobry” do „dziadzia”. Tylko on jeden miał przywilej picia kawy w łóżku. Towarzyszył mu ulubiony jamnik, czuły na cukier, o którym się bardzo energicznie dopominał.

Pokój sypialny „dziadzia” przylegał do jadalni. Nigdy może do żadnego innego pokoju nie wchodziłem z równie wielkim szacunkiem, jak właśnie do tego, śmiało bowiem nazwać go było można „sanktuarium rodziny”. Duże, szerokie okna rzucały jasny słup światła na ściany, wypełnione portretami. Znałem je na pamięć. Portret mojego pradziada, „regimentarza”, znanego siłacza, który wedle podania w bitwie pod Parkanami (w r. 1683) schwytał uciekającego na koniu bszę tureckiego a podniósłszy

jedną ręką, osadził przed sobą i w ten sposób przywiódł przed króla Jana III — zapoczątkował tą galerię portretów różnych panów i pań w charakterystycznych, stylowych strojach.

Piękny szesnastowieczny gobelin, wiszący nad marmurowym, w stylu pierwszego cesarstwa, łóżkiem, duży herbawy krucyfiks i rozłożyste, z epoki kościuszkowskiej, meble, dopełniały urządzenia.

Leżąc zawsze nienasyconą ciekawością dziecka kazała mi iść dalej, szedłem więc przez jadalny pokój do tak zwanej „salki” gdzie na bielonych ścianach dominowały cztery duże płótna. Nad staroświeckim fortepianem, o pięknym wycięciu w kształt harfy, wisiał w złote ramy oprawny portret pędzla starego Rejchana, przedstawiający mojego dziadka z dwoma młodszymi braćmi, w tak bardzo charakterystycznych dla połowy dziewiętnastego stulecia strojach myśliwskich. Na przeciwległej ścianie, nad ciężkimi meblami z epoki I cesarstwa, wisiał portret trzech sióstr mojego dziadka, wykonany przez tegoż samego artystę. Delikatność pędzla Rejchana, tak właściwa jego epoce, pełna była uroku i jakże przewyższała swoją techniką wielu portrecistów współczesnych!

Z ciemnego rogu pokoju wyglądały natomiast dwa ponure portrety. Jeden z nich to jakaś siedemnastowieczna kopia, przedstawiająca podobiznę papieża Juliusza II ze swym sekretarzem, a drugi to portret, o ile pamiętam, sułtana Achmeta II, przysłany podobno w prezencie mojemu pradziadowi. „regimentarzowi” po odstąpieniu wojsk tureckich z Podola.

(Dokończenie nastąpi)

dził się, nie uląkł, przeciwnie, taka go radość ogarnęła, że jak mim grecki puścił się w tany, całą krasą swoich przysiadów i hotubców chcąc oczarować mnie, którą obrał sobie za teściową. Skowyczał przytem, jak tylko skrzywdzone zwierzęta skowyczą. Ludzie przyslanęli, dzieci rzuciły zabawki, matki przestały karmić niemowlęta herbatą, tylko dwie pary zanurzone w trawę tuż przy ścieżce, trwały dalej w niemocy. Każdy psi ewement jest w Anglii gorąco przeżywany, więc zaraz posypały się pytania: „Chory? Inny pies go ukąsił? Ktoś go uderzył?” Nim zdołałam wyjaśnić, już spod ziemi zjawili się łoksik, dołączając swoje skoki piłkowe i przenikliwe pienia, na jednym tonie prowadzone, do solówki Nika. Szybkim krokiem ruszyłam przed siebie. Nie pomogło. Foxterier przegonił mnie i ctaczając wileczym kręgiem ujadął, patrząc mi prosto w twarz oczami koloru topazu, gdy Niki, ta foka w płasach, człapała w pół i ćwierć zwrotach tanecznych, skowycząc, skowycząc...

Ulica była blisko. Przystanek. Wsiadłam do autobusu. Konduktor zanim dał znak szoferowi zapytał: „A psy zostawia pani same?” — „Nie moje” — odpowiedziałam. „Ale płaczą za panią!” — „Nie znam to obce psy”. Dał znak szoferowi, patrzył na mnie uważnie i sprzedał bilet chłodno, nawet nie powiedziawszy

„thank you”. Widocznie mi nie dowierzał i posądzal o okrucieństwo.

Od tej chwili, gdzie bym się nie ruszyła z małą, czy bez małej, szły za mną i przede mną dwa psy ze skowytami, lansadami, trepakiem, walczykiem, zatrzymując ruch uliczny, tym bardziej, że od czasu do czasu dobiegał do nich trzeci, o sierści zmierzwionej niepewnym pochodzeniem małej, ojca i dziadków, z których jeden tylko mógł być setterem. Celem wywarcia lepszego wrażenia, zanim dobiegał, łarzał się przedtem w przygodnym chlewiku, jakim mogą być gruzy rozwalonego domu, kupa zmiecionych liści, a najczęściej przychodnikowa kałuża. Raz nawet trafiła się pęknięta rura wodociągowa buchająca strugami czystej, zimnej wody... Tak przystrojony podchodził dopiero w konkury, kończące się naogół opieraniem łap na moim ramieniu, jako że małą trzymałam na rękach, a włóczęga był okazale postawy.

Fróbowałam wynosić ją w worku, z którego tylko głowa i dwie łapki wystawały. Owszem ludziom się to podobowało, ale nie psom. Oszałała czereda gnała wokół mnie, dając nielada wyraz swemu zadewoleniu. Kartofle zaczęłam kupować przez swoich znajomych, ponieważ jarzyniarz stanowczo nie zgodził się na takie sponiewieranie worków

z produktami, na jakie towaryszące psy sobie pozwalały. Doprowadzona raz do ostatecznej rozpacz, korzystając z ożywionego ruchu, wpadłam niedostrzeżona do wielkiego magazynu (bądź co bądź skład duży, zajmujący cztery pokładne piętra, nie licząc restauracji). Postanowiłam przeczekać i potem wymknąć się drugim wyjściem. Po kwadransie walenia się od lady do lady, nagle z daleka, w dziale koszyków, tac i przyborów stołowych, mignęło mi towarzysze ucho. To foxterier idący gonych węchem, wpadł na ślady. Ponieważ zatrzymał się przed stertą tac pięknie emaliowanych w celu zgoła przeciwnym zasadom handlowym, jakkolwiek na wymianie świadczeń polegającym, chwyciłam małą mocniej i już byłymy na pierwszym piętrze, skąd wsiadłszy do windy (ślady się urywa) znalazłam się na piętrze drugim (dział mebli i tkanin brokatowych). Odetchnęłam. Sprzedawca też. Byłam jedynym klientem na całą wielką przestrzeń zastawioną łóżkami, kozetkami, fotelami i tapczanami, które służą w dzień za stół pingpongowy, a w nocy do spania. Mała była klientem drugim, ale wiadomo, że sama przyjść nie mogła, więc sprzedawca na nią nie liczył, może instynktem przeczuwając polskie przysłowie, że „tu nawet pies z kulawą nogą...” Uprzejmie

zapytał, czym może służyć. Spojrzałam na szafę wielką jak młockarnia myśląc, że bardzo by mi się przydała, choć nie było by jej gdzie postawić, a o pieniądze też trudno i powiedziałam, że szukam tyżeczki do herbaty. Nieprawda. Tyżeczkę taką dawno już miałam, ale nie mogłam przecież wyznać, że schroniłam się tu myjąc pogonię, w dodatku przed foksem, który te tace emaliowane... Choć coprawda, Anglik by mnie zrozumiał, ale nie chciałam ryzykować — teraz tyłu cudzoziemców dostaje pracę w magazynach! Uśmiechnął się ponownie i wyjaśnił, że to o piętro niżej, w dziale naczyń kuchennych. Nie zesłam schodami. Użyłam windy (ślady się urywa) i lawirując pomiędzy zwojami linoleum mierzonymi przez dwóch subiektów na wypadek, gdyby ktoś jeden jard chciał kupić, ominęłam dział kuchenny i drugim schodami, przez sklep spożywczy, gdzie zapach sera i środków dezynfekcyjnych może zabić nawet błogą wia samiczego futerka, wyszłam na ulicę Cisca. Teren oczyszczony. Skręciłam w przecznicę. Za rogami powitał mnie przeraźliwy jazgot płowego włóczęgi i taniec indiański kiuchy-jamnika...

Mieszkałam tuż koło Kensingtonskiego Parku. Przejść ode mnie w cień drzew i zieloność irawników, to to samo, co z ulicy Mochnackiego we Lwowie przejść na plac Fredry.

Nic z tego. Nawet tej przestrzeni pokonać nie mogę. Wychodząc z domu, kieruję się w stronę przeciwną, na Queensway, wsiadam do kolejki podziemnej, ustaliwszy poprzednio z kontrolerem, że czeredę za mną sunącą zatrzyma. Kontroler jest człowiekiem wyrozumiałym, ojcem licznej rodziny i właścicielem starej, zasłużonej dla swego społeczeństwa suczki, więc idzie mi bardzo na rękę. Schodząc na peron, jeszcze słyszę jego pobukiwania i rozsądne tłumaczenia wobec Nika, foksa i płowego włóczęgi...

Wysiadam na Notting Hill Gate, z przyzwyczajenia roglądam się dokoła i wolno, spokojnie idę w stronę ogrodu, gdzie dostaje się wejściem bocznym, pomiędzy dwiema tabliczkami, z których każda wyraźnie podkreśla, kto jest gentlemanem, a kto prawdziwą lady. Bardzo żaluję, że moi trzej muszkietierowie słowa „gentlemen” przeczytać nie mogą.

Chodzę więc po Londynie i myślę pogonię. Kiedy to się skończy? Doświadczeni ludzie utrzymują, że nigdy, ponieważ mała jest wyjątkowo urodziwa, mimo wybitnego podobieństwa do zaby i jamnika, nie mówiąc już o małpce, która swoje trzy grosze musiała w pierwową, kocia kombinację, wściubić.

Teodozja Lisiewicz

Z K E L V E D O N

OPŁATEK

W styczniu br. Komitet Parafialny, Chór Kościelny, Kolo Różańcowe i Harcerki urządziły wspólny opłatek w sali klubowej.

Na program zożyło się przemówienie Ks. Proboszcza, kierownika Chóru p. W. Makowskiego i prezesa Komitetu Kościelnego p. S. Masłowskiego. Po przełamaniu się opłatkiem liczni goście zasięli przy stole zastawionym przez Panie Kola Różańcowego. W serdecznej atmosferze spędzono wieczór, urozmaicony występami chóru, który śpiewał kolędy, oraz wystawieniem przez harcerki baśni gwiazdkowej „Kiedy święta zgaśnie”, pod reżyserią p. J. Szuszkiewiczówny.

NA POMOC DZIECIOM

Na apel Funduszu Pomocy Dzieciom Polskim (Polish Children Rescue Fund), któremu patronuje J. Em. ks. Kadynał B. Griffin, Arcybiskup Westminsteru, Zarząd Lokalnego Komitetu Skarbu Narodowego na zebraniu 12 ub.m. w którym wzięli udział przedstawiciele instytucji organizacyjnych i męzowie zaufania hostelu Kelvedon, powołał Specjalny Komitet Zbiorkowy.

Do Komitetu weszli: członkowie Zarządu Lok. Komitetu Skarbu Narodowego wraz z mężami zaufania, przedstawiciele Kola SPK 319, oraz przedstawiciele Komitetu Parafialnego. W wyniku przeprowadzonej zbiórki w całym hostelu i wśród Polaków w Braintree, zebrano £23.3.0.

Na podkreślenie zasługuje łączność Polaków w Braintree z hostelem Kelvedon, dzięki ks. prob. A. Holowaczowi i p. S. Dużniakowi, który nigdy nie szczędził czasu, jeśli chodzi o poparcie sprawy polskiej.

Z NETTLEBED

Z końcem stycznia odbyły się u nas wybory do nowego Komitetu Hostelowego. Wszli do niego pp. Murawski — prezes, Domżał — sekretarz, Januszczak — biletarz oraz jako członkowie pp. Werdepny, Patyra, Zgorzałek, Łotysz i Maklak.

W HOLANDII

OPŁATEK PTK W BREDZIE

W sobotę 19 stycznia br. Zarząd Kola P.T.K. urządził w sali „Wapen van Breda” tradycyjny opłatek dla członków, dobrodziejów i gości holenderskich. Do stołów nakrytych białymi obrusami zasięli wszyscy w skupieniu, oczekując rozpoczęcia łamania się opłatkiem. Czynili to również i Holendrzy, którzy po kolei łamali się opłatkiem, składając swoim przyjaciołom polskim serdeczne życzenia. Prezes W. Grendel złożył wszystkim serdeczne życzenia, po czym ojciec kapucyn, Damascen (Holender) złożył życzenia w imieniu ojca Efrema, który przebywa jeszcze w szpitalu obłożnie chory. Ojciec Damascen przemówił do Polaków w języku polskim, był on bowiem w Polsce od 1920 do 1935, i nawiązał do polskich tradycji i opłatek. Do gości holenderskich mówił w własnym ich języku, zaznajamiając ich ze zwyczajami Bożego Narodzenia w Polsce i wskazując na opłatek jako na symbol braterstwa, miłości i jedności.

Obecny był również delegat Zarządu Głównego P.T.K., dr N. Komar, który złożył życzenia w czasie wspólnego posiłku.

Zespół Widowski „Polonia” wystąpił z „Wieczorem kolęd polskich”. Słuchowisko pt. „Szopka betlejemka” w opracowaniu p. Rzemienieckiego wykonał Zespół; recylację pt. „Powrót” p. B. Galas; p. W. Spiewakowski odśpiewał „Jeruzalem” i „White Christmas” przy akompaniamencie p. C. Duda. „Wigile” na okupacji w Niemczech” Z. Wojciszewskiego opowiedział p. Rzemieniecki. Całość, przeplatana wspólnymi kolędami, dała świąteczny nastrój.

W czasie tej uroczystości Zarząd Polskiego Towarzystwa Katolickiego w Bredzie nadał członkostwo honorowe p. Pawłowi Gunsowi, sekretarzowi Komitetu „Nederland-Polen” P. prezes W. Grendel wręczył mu piękny dyplom honorowy, który wykonał p. E. Horak. Pan P. Guns jest bardzo serdecznym przyjacielem Polaków i położył duże zasługi dla Kola P.T.K. w Bredzie od pierwszej chwili jego istnienia. Oby więcej takich przyjaciół miała Polska.

Wieczór zakończono zabawą taneczną. Organizatorom należy się pełne uznanie za pracę jaką włożyli w przygotowanie i przeprowadzenie tego wieczoru. Jak również Zespołowi „Polonia” za upiększenie go swoim występem. Wszystkim Bóg zapłać.

W. Pładyka

Z ŻYCIA POLAKÓW NA OBCYZIŃNIE

Polacy w Birmingham adoptują chłopca - sierotę

W czasie wieczoru kolęd w Birmingham przeprowadzono na sali Zbiórki na fundusz adoptowania chłopca sieroty i umieszczenia go w zakładzie oo. marjanów w Hereford (Lower Bullingham). Zbiórka dała £92.0.

Po wieczorze zaś odbyło się małe zebranie, na którym wybrano komitet adoptowania sieroty. Do Komitetu tego weszli panie T. Golowszczyńska, I. Jeznach, A. Kaczmarska i A. Rydzewska oraz pan W. Karpowicz. Zadaniem Komitetu jest stałe zbieranie środków na polski zakład wychowawczy oo. marjanów w Herefordzie, a przede wszystkim na utrzymanie chłopca lub nawet chłopców, wziętych przez Komitet pod stałą opiekę materialną.

Dotychczas na ten cel zebrano £84.12.0 w czasie dwóch zbiórek przed kościołem i podczas wyżej wspomnianego wieczoru kolęd.

ZABAWA TANECZNA

w hostelu Ludford
w sobotę 23 lutego br.
w godzinach od 7 do 12.
urządzą
Koło Akcji Katolickiej,
Kat. Stow. Młodzieży
i Sodalicja Marińska

Orkiestra kontynentalna
Tani bufet — Niespodzianki
Czysty dochód przeznaczony
na zakup dobrych książek do
biblioteki parafialnej.

WIECZÓR INSCENIZOWANYCH
KOLĘD W BIRMINGHAM

W ostatnią niedzielę stycznia chór polski w Birmingham dał piękny wieczór kolęd ilustrowanych żywymi obrazami. Wykonanie kolęd i inscenizacje wypadły dobrze. Napewno nikt z tych, którzy na wieczór przybyli, nie żałował tego, że spędził parę godzin tak miło w polskiej atmosferze. Niestety takich było mało. Zdawałoby się, że taka polska impreza powinnaścią tłumy, ale wielu zdaje się uważać, że nie warto iść, „bo to tylko kolędy”. Natomiast źle stało, że nie zainteresowano tym wie-

czorem katolików angielskich, jak to było w innych ośrodkach, gdzie Polacy urządzali takie koncerty kolęd, poprzedzane odpowiednim słowem wstępnym po angielsku.

Chór nasz prowadzą pp. Kubicki i Piątkowski. Obu im i wszystkim śpiewakom należą się słowa gorącego uznania za ich pracę i ofiarę z czasu wkładaną w ćwiczenia chóru.

W styczniu nasz chór zrobił piękną i miłą niespodziankę rodakom w pobliskim Redditch, gdzie się zjawił na niedzielnym nabożeństwie i odśpiewał szereg kolęd.

KOLĘDY POLSKIE W OXFORDZIE

W niedzielę 27 stycznia Chór im. Fr. Ciopina (dawny Chór Wojska Polskiego) przyjechał do Oxfordu z programem kolęd i pieśni ludowych. Koncert zorganizowało w Town Hall miejscowe Kolo SPK.

Program wypełniły występy chóru mieszanego oraz męskiego, przeplatane występami solowymi. Śpiewała p. J. Wtorzecka oraz panowie Dębski (baryton) i Cytułski (bas).

Zarówno solista jak i cały chór byli gorąco oklaskiwani przez liczną zebraną publiczność, przy czym należy zaznaczyć, że większość słuchaczy stanowili Anglii, wśród których było sporo studentów i szereg wykładowców. Szczególnie licznie byli reprezentowani ojcowie benedyktyni.

Niespodzianką tak dla publiczności jak i dla organizatorów była włączanka

pieśni angielskich odśpiewana przez chór męski z prawdziwie polską werwą.

Miejscowa prasa zamieściła nazajutrz po koncercie obszerną i życzliwą recenzję podkreślając zupełnie inną od angielskiego charakter pieśni i oryginalną ich interpretację.

Dyrygował i akompaniował w występach solowych p. Gedl, słowo wstępne dał p. Huczek.

Po koncercie Chór podejmowany był herbatką przez organizatorów.

Polacy w Oxfordzie będą długo pamiętali wizytę Chóru, który pieśnią polską wstępnym bojem zdobył nam sporo przyjaciół wśród gospodarzy, jak najlepiej reprezentując możliwości polskie w dziedzinie kultury muzycznej. Pracy dyrygenta oraz członków Chóru, jak również i solistów, prowadzonej w jakże trudnych warunkach, należy się dużo uznania i wdzięczność.

W Oxfordzie koncertem swym Chór dał miejscowej Polonii dwie godziny prawdziwego przeżycia. Wyobraźnia, unoszona melodią pieśni polskiej, przenosiła obecnych do Polski. Czar kolęd i pieśni ludowej pokrzepił serca, a w wielu, być może, wskrzesił iskierki polskości przysypane popiołem zubożenia.

JAN JANUREK

OFIARY

Książki dla Irenki i Geni Piotrowskich w Brazylii złożyli pp. S. D. i P. B., 56 Stamford Brook Rd. London W.6



WSZELKIE LEKI DO KRAJU WYSYŁA POLSKA APTEKA
M G R A M. B. G R A B O W S K I E G O
187, Draycott Avenue, London, S. W. 7, tel. KEN 6583

Z E S Z K O C J I

KONCERT
POLSKIEGO CHÓRU „ECHO”
W EDYNBURGU

Pisaliśmy już kilkakrotnie o zadaniu jakie na terenie Szkocji spełnia polski chór męski „Echo”. Obok popularyzowania pieśni polskiej wśród Szkotów, przyczynia się on niewątpliwie do podtrzymywania ducha polskiego wśród rodaków.

Niedawno chór ten wystąpił pod batutą St. Gorkzowskiego z dorocznym koncertem w Edynburgu w wielkiej sali „Central Hall” z udziałem popularnego wśród polonii barytona J. Wrońskiego i b. dobrej pianistki szkockiej Kathleen Belford.

Repertuar chóru był b. urozmaicony i z przyjemnością stwierdzić należy, że chór robił stałe postępy, zyskując uznanie zarówno miejscowej Polonii jak i Szkotów.

Nie jest naszym zamiarem wdawać się w szczegółową krytykę koncertu, chcemy stwierdzić jedynie, że zarówno chór jak i soliści przyjmowani byli serdecznie — riestety przez nie liczną na sali publiczność — co podkreślamy z prawdziwym żalem.

—Oo—

W związku z tym koncertem obowiązek dziennikarski nakazuje nam zwrócić na jedną rzecz uwagę: dobrze się stało, że organizatorzy koncertu przynajmniej się do popełnionego błędu pominęli w afiszach, zapowiadających występ chóru, w programach, jak również na biletach wstępu — przymiotnika „polski” — co wywarło wielkie zdziwienie i nieprzyjemne bardzo wrażenie wśród szerokiej kół miejscowej Polonii, — oraz, że błąd ten choć częściowo naprawili przez późniejsze ogłoszenie w prasie szkockiej podając nazwę chóru jako: „Polish Edinburgh Choir Echo”.

Mamy dane na to, by stwierdzić, że właśnie dzięki tym prasowym ogłoszeniom mówiącym o polskim chorze, przybyło na koncert szereg rodzin szkockich dla zmanifestowania swej przyjaźni dla Polaków. Pamiętają oni jakże dobrze występy w stolicy Szkocji Chóru Wojska Polskiego, który pozostawił po sobie jak najlepsze wspomnienia.

Nie zapominajmy, że przecież ten nasz chór, to jakby „dziecko” Polonii edynburskiej i im lepiej śpiewa, tym bardziej serce jej się raduje, a sądzimy, że i chorówi należy również na tym, żeby mieć jak najlepszą u rodaków opinie.

To też jeśli chce on mieć poparcie Polonii miejscowej, niechajże poniecha tego rodzaju „niedopatrzeń”. Przypuszczamy, że w przyszłości nie stanie się nic takiego, co by dobrą opinię chóru — jako placówki polskiej — na szwank narazić mogło.

W. KOPASZYNA

Z C Z E G O I M P O T R Z E B A ?

DLA SZKOŁY i INTERNA-TU dla polskich chłopców potrzebne są:

Wszelkie książki do nauki i podręczniki, atlasy geograficzne, botaniczne i zoologiczne, okazy fauny i flory, zbiory motyli, zieleniki itp.

Reprodukcje dzieł sztuki przede wszystkim polskiej a potem i obcej, obrazy i rzeźby.

Materiały i pomoce szkolne, jak zeszyty i papier, ołówki, pióra itp.

Ręczniki i chustki do nosa.

DO DZIAŁU MARYJNEGO i KATOLICKIEGO:

Wszelkie wydawnictwa dotyczące kultu N. Marii Panny, obrazy, fotografie zjazdów maryjnych itp.

DO DZIAŁU ARCHIWALNO-MUZEAŁNEGO:

Wszelkie przedwojenne i wojenne pamiątki i dokumenty odnoszące się do Polski i Polaków, a więc książki, mapy, monety, ordery, autografy, listy.

Zakład przyjmuje również z b i o r y e t n o g r a f i c z n e odnoszące się do kultury krajów, które Polacy w czasie wojny przeżyli, a więc z Persji, Iraku, Indji, Egiptu, Afryki Wsch. itd.

Wszystkie te przedmioty można przysyłać pod adresem:

Rev. Father Superior Józef Jarzębowski, Marian Fathers, Lower Bullingham, Hereford.

CO SLYCHAĆ W LONDYNIE?

GEN. IRONSIDE O ROSJI. — Nazwisko gen Ironside'a głośnie było kiedyś w Polsce. Był on mianowicie delegatem rządu brytyjskiego do rozmów wojskowych z Polską po zawarciu polsko-brytyjskiego paktu wzajemnej pomocy w r. 1939. Obecny marszałek Ironside na konferencji British Legion w Londynie usiłował rozprzeżyć zbędne obawy przed potęgą sowiecką. „Niewielu ludzi — mówił brytyjski marszałek — zna tak Rosję, jak ja. Nie będę miał żadnej obawy przed Rosjanami, jeśli tylko zdołamy wykonać nasz plan zbrojeniowy”.

WAKACJE ZA GRANICĄ. — Obniżenie do 25 £ sumy pieniędzy, jakie mogą zabierać ze sobą turyści wyjeżdżający z W. Brytanii zagranicę nie wywołało poważniejszego wstrząsu w biurach podróży oraz w organizacjach turystycznych. Ilość projektowanych tur wycieczkowych jest większa, niż w latach ubiegłych. W obecnych warunkach trudniej będzie urządzić się za granicą na własną rękę, toteż spodziewany jest olbrzymi wzrost wycieczek zbiorowych. Brytyjskie agencje podróży projektują zabieranie z W. Brytanii małych zapasów żywności, szczególnie herbaty, którą będzie się przyrządzać w kociołkach na trasie podróży. Turyści indywidualni jak się przewiduje, będą musieli ograniczyć czas pobytu zagranicą i skrócić trasę podróży. Przewiduje się, że przeciętnie 10 dni stanie się normą pobytu poza krajem. Wiele hoteli i pensjonatów zagranicznych obniżyło swoje koszty. W miesiącach letnich spodziewany jest tłumny zjazd turystów w kraje położonych bliżej W. Brytanii oraz masowy udział w wycieczkowych rejsach statków turystycznych. Już obecnie rozszerzają one pojemność kaju.

DOKĄD BRYTANIA EKSPORTUJE SAMOCHODY? — Mr. J.F. Bramley, dyrektor Towarzystwa Eksportowego Austin Motor, nie obawia się specjalnego kryzysu w brytyjskim eksporcie samochodów. Głównym odbiorcą wozów brytyjskich są dominia. Pierwszym poważnym cieniem była odmowa w roku ubiegłym kupna samochodów z metropolii przez Kanadę. W roku bieżącym spodziewana jest nieduża obniżka eksportu do Australii i Nowej Zelandii. Najlepszym rynkiem byłaby Afryka, która domaga się stałe nowych wozów, jednak dostawy ograniczone są przez małą przelotność warunkową portów. Pogarsza się natomiast możliwość eksportu samochodów do Indii.

ILE ANGLICY WYPIJAJĄ WINA? — Wedle danych celnych W. Brytanii importuje obecnie 9,700,000 galonów wina rocznie. Największe powodzenie mają sherry, port, szampan i wermut. Oprócz spijania win importowanych W. Brytanii pochłania 4,500,000 galonów wina preparowanego u siebie. Wytwarza się je ze skoncentrowanego ale niesfermentowanego soku winogronowego, sprowadzanego z Grecji i z krajów imperium. Ta rodzima produkcja stanowi jedną trzecią konsumpcji. Nie do wiary, ale W. Brytanii eksportuje to swoje wino do krajów imperium, zarabiając tym sposobem blisko 300,000 £ rocznie.

A NĄPOJÓW CHŁODZĄCYCH? — Bagatela: tylko 206 milionów galonów rocznie. W związku z tym przebakują o podatku państwowym od „soft drinków”, które obowiązują np. w Szwajcarii. Jak wiadomo poliak taki — i to bardzo wysoki — płaci się o spóżytku piwa. Daje on państwu 240 milionów funtów rocznie. Piwa niszczą Anglicy 902 milionów galonów rocznie. Galon = prawie 4 i pół litra.

STREPTOMYCINA 10 gr. £ 2.10.0
P.A.S. 500 tabletek £ 1.15.0
250 gr. proszku £ 1.15.0
500 gr. proszku £ 3.00.0

PENICYLINA oleista
oraz wszelkie lekarstwa
3.000.000 jedn. 18/-

wysyła
HASKOBA LTD.
2, Hogarth Rd., S. W. 5
Naprzeciw st. Earls Court

SŁUŻBA BOGU I POLSCE

oto naczelną zasady ideowe Związku Harcerstwa Polskiego. Młodzież w drużynach harcerskich zaprawia się do realizowania tych zasad w życiu osobistym i społecznym.

Luty — miesiąc zbiórki na Fundusz Polskiej Młodzieży Harcerskiej. Dary prosimy wpłacać na listę lub kierować bezpośrednio na adres: 45 Gloucester Road, London, S.W.7. Czeki, money ordery i postal ordery prosimy wystawiać na: „Polish Boy Scouts & Girl Guides Assn.”.

WIADOMOŚCI Z LONDYNU

Z TEATRU

ZAPACH CHLEBA KULIKOWSKIEGO

Lwowianie wiedzą, że najlepszy chleb był kulikowski. Od wielu pokoleń cech piekarni kulikowskich posiadał tajemniczy wypieku pachnących bochenków o chrupkiej skorupce złoto-brązowego koloru, posypanej kminkiem. Zapachem tym wiało po ulicach Lwowa i po sercach jego mieszkańców. Kto pragnie się przekonać, jaka jest moc pieczy, niech posłucha piosenki o „Chlebie kulikowskim” w teatrze Mariana Hemara. Uprzą bochenek chleba w rękach pieśniarki, w oczach jej zobaczy radość z niego, a w poetyckich słowach dostrzeże złote jego barwy i złoto miłości. Jakże może być piękniejszy symbol utraconej ojczyzny, niż chleb?

Piosenka o kulikowskim chlebie w lirycznym wykonaniu Władysław Majewskiej jest szczytowym utworem w ostatnim programie teatru rewiewego Hemara. Szkoda, że program ten nosi tytuł „Lost Property” zamiast „Chleb kulikowski”. Jeszcze raz Hemar przygotował program doskonały, niemal bez skazy. Z piosenek i obrazków scenicznych bije poświata nieskazitelnej poezji, głęboko rozumianej przez głównego współtwórcę programu, dekoratora Tadeusza Orłowicza. Program odznacza się precyzyjną wykwintnością, spokojnym wdziękiem, urokiem elegancji. Hemar jest twórcą nowej formy teatru, w której są tylko szczątki kabarelu. Występy teatru Hemara, to po prostu inscenizowane poematy.

Muzyczny obrazek „Polka” i „Piosenka Maryli”, to jakby żywe kopierszytchy, spowite we wstążki gracji minioniej epoki i tułi łagodnego humoru. Finał — roztańczone, rozśpiewane, kolorowy, skrapia oczy i serca widzów tęsknotą.

W programie są także aktualne skecze, nasycone błyskotliwym humorem i piosenki satyryczne. Autorem wszystkich punktów programu oraz znakomitym reżyserem jest Marian Hemar — poeta zapa-

**CZAS WPŁACAĆ
PRENUMERATĘ
ZA I KWARTAŁ 1952 R.**

KONKURS TEATRALNY

Zwyczajem przyjętym od kilku lat, Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego, pragnąc wyrazić uznanie scenom polskim oraz zachęcić je do dalszych starań o najwyższy poziom artystyczny przedstawień, postanowiło przyznać następujące nagrody:

- 1) za najlepszą reżyserię (inscenizację sztuki),
- 2) za najlepszą kreację aktorską,
- 3) za najlepszą grę zespołową (do podziału po równej

części między członków nagrodzonego zespołu),
4) za najlepszą oprawę sceniczną (dekorację).

Konkurs obejmuje sztuki wystawione między 1 kwietnia 1951 r. a 1 kwietnia 1952 r. i zostanie rozstrzygnięty w kwietniu 1952 r.

Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego prosi publiczność teatralną, zarówno londyńską, jak i ośrodków i osiedli polskich na terenie W. Brytanii o nadsyłanie uwag i opinii, które weźmie pod uwagę Sąd Konkursowy w składzie: pp. Zygmunt Nowakowski (przewodniczący), Władysław Guenther, Józef Kapica, Tymon Terlecki i Ignacy Wieniewski

Listy z napisem „Konkurs teatralny” na kopercie — prosimy nadsyłać na adres Towarzystwa: 72, Cadogan Square, London, S. W. 1 — do dnia 1 kwietnia 1952 r.

ŚMIERĆ KSIĘDZA BROWNA

W przytulku dla starców w Leeds zmarł Monsignor John Joseph O'Connor, znany miłośnik literatury jako Ojciec Brown z opowiadań G. K. Chestertona. Ojciec O'Connor, który natchnął wielkiego pisarza do jego mistrzowskich humorów i opowieści delectywistycznych, dożył 81 lat. Był on proboszczem u św. Cuthberta w Bradford przez ostatnie 32 lata, a od 5 miesięcy znajdował się w przytulku.

„Przygody Księdza Browna” zostały kilka miesięcy temu wydane nakładem „Pax'u” w Warszawie. W obszerniejszym wydaniu pol-

skim „Przygody” ukazały się już przed wojną. Jest to zbiór opowiadań o wątku delectywistycznym, ale w istocie są to rozprawki moralne o sensacyjnej formie. „Mały księżytek z okrągłą twarzą” posiada jako spowiednik czujną przenikliwość zła, tropiąc je zawzięcie. Sam przy tym jest uosobieniem dobroci i pokory. Pokorę nazywa „matką olbrzymów”. „Jeżeli nie pobudzamy się nieustannie do wdzięczności i pokory, coraz mniej rozumiemy znaczenie nieba”. Ksiądz Brown uważa za główną więź z niebem — pokorę.

J. B.

„GOD SAVE THE QUEEN”

W związku z wstąpieniem na tron królowej Elżbiety II uległ zmianie tekst hymnu państwowego, który będzie się odąd kończył słowami „God Save the Queen”. Napisy na instytucjach publicznych, sądach oraz podpis pod dokumentami zmienia się o czywiście w podobny sposób. Zmiana będzie też wprowadzona w modlitewnikach.

Nowe monety oraz znaczki pocztowe z podobizną Królowej wyjdą do plera za około półtora roku. Na razie w obiegu pozostaną monety i znaczki z podobizną zmarłego monarchy.

W życiu księżniczki Małgorzaty na-

stąpią zmiany, ponieważ obecnie jej zamążpójście uzależnione będzie od zgody siostry królowej. Księżniczka ukończyła 21 lat kilka miesięcy temu. W tym wieku siostra jej posłużyła porucznika mar. Mountbatten, obecnie księcia małżonka. W każdym razie w ciągu roku bieżącego ze względu na żalobę małżeństwa w rodzinie królewskiej nie wydadzą się prawdopodobnie. Jako pierwszy ogłosił żalobę dworski król Egiptu Faruk.

Orędzie premiera Churchilla po zgonie Króla przyjęte zostało jako wzór reformaty angielskiej i będzie przypuszczalnie nagrane na płyty.

NOWE FILMY

„SKRYCI LUDZIE” — „SECRET PEOPLE”

Najlepsza wytwórnia filmowa brytyjska, Ealing Studios, uważana również za jedną z czołowych w świecie, produkowała do tej pory filmy o tematyce niemalże wyłącznie brytyjskiej. Wywoływało to stały zachwyt tutejszej krytyki, mimo że filmy Studia Ealing były stanowczo zbyt prowincjonalne. Ambitni kierownicy wytwórni postanowili wyjść poza teren brytyjski i wpuścić do swych filmów wiatr wielkiego świata a przede wszystkim kontynentu. Na pierwszy ogień poszedł scenarzysta Thorolda Dickinsona i Wolfganga Wilhelma p.t. „Secret People”.

Jest to dramat jednostki, uwikłanej w namietności polityczne. Teza tego filmu głosi, że nawet najlepsi ludzie pod naciskiem wyższych sił mogą się przedziurzyć w nieczemności i zbrodniarstwo. Trzeba być więcej miejsca, aby udowodnić, że pomysły filmu, jego idea jest nieprzeciętna i głęboko pomysłowa. Wykonanie filmu jest również dużej klasy, mimo zgodnego chóru krytyków brytyjskich, potępiającego „Skrytych ludzi”. Krytycy wykazują w swych raczej przykrych opiniach zupełną nieznaną zarówno psychiki, jak i warunków życia na kontynencie. Patrzą na konspiratorów politycznych po prostu jak na zbrodniarzy, nie doceniając tragicznej złożoności tego problemu.

Niestety i reżyseria przyczyniła się w niemałej mierze do strywalizowania filmu. Zamast pójść konsekwentnie po linii dramatu jednostki i tragicznego jej zaplątania w sieci polityczne, mniej więcej od połowy filmu porzuciła dramatyczną koncepcję rzecz kryminalnego banału. W ten sposób otrzymaliśmy połowę filmu kontynentalnego, a połowę przyrządzoną wedle gustu tutejszych „rewolwerblatów”.

Wspaniała gra Valentyny Cortesa, przyjemna tancerki Audrey Hepburn, ciekawa Charles Goldnera, raczej słaba Serge'a Reggiani. Film tylko dla dorosłych, mimo happy end'u bardzo pesymistyczny. Duży wysiłek reżyserki, zamarnowany przez rutynę i szablon. J. B.

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

WYSYŁA
ORBIS 38, Knightsbridge,
London, S. W. 1
PIOSENKI H. ORDONÓWNY, S. RUSZAŁY, REF-RENA,
J. GEMBIKIEJ, J. KIEPURY.
TANEZNE: TANGA, WALCE, KUJAWIAKI, KRAKOWIAKI,
OBERKI, POLKI.
KONCERTOWE: MAŁCUZYŃSKIEGO, UM...
Na prowincję wysyłamy w specjalnym opakowaniu.
ZADAJCIE KATALOG

KRONIKA KULTURALNA

„OSSERVATORE ROMANO” O HISTORII TEATRU POLSKIEGO. — W nrze z 27 stycznia b.r. znajdujemy „Osservatore Romano” pracę prof. Mateusza Glińskiego o dziejach teatru i opery w Polsce. W nrze z 28/29 stycznia Leonard Kościński pisze o O. Janie Beyzymie, założycielu polskiej misji dla trędowatych w Afryce Wschodniej, zmarłym w 1912 r.

„TABLET” O MICKIEWICZU. — Katolickie pismo angielskie „The Tablet” zamieszcza w nrze z 9 lutego b.r. recenzję książki zbiorowej o Adamie Mickiewicz pod redakcją Manfreda Kridla, wydanej nakładem Columbia University Press. Recenzent Frank Saverly uważa „Pana Tadeusza” za poemat, który do dziś dnia nie stracił nic ze swej świeżości, ale wymagałby doskonałego przekładu angielskiego, aby mógł zająć ciałym przepychem swych barw. Tylko w dobrym przekładzie mogą nieznaną języka polskiego czytelnicy „Pana Tadeusza” dostrzec „cudowny złoty płomień, jaki rozświetla cały poemat”.

ANGLIK — MIŁOSNIK MICKIEWICZA. — Tegoroczna nagroda poetycka księgarskiej firmy Foyles otrzymał znany poeta katolicki, Roy Campbell za przekład poezji św. Jana od Krzyża. Campbell, który był ochotnikiem w wojnie hiszpańskiej po stronie wojsk ger. Franco, w pamiętniku swym napisał, iż uważa „Pana Tadeusza” Mickiewicza za najpiękniejszy epos nowoczesny w poezji światowej. „BEHOLD THE MAN” — film brytyjski o Męce Pańskiej wyświetlany będzie na Hampsteadzie w kinie „Playhouse” w niedzielę dnia 24 lutego o godzinie 2 po poł.

„MORD W KATEDRZE” — film produkcji brytyjskiej wedle dramatu T.S. Eliota o zamordowaniu św. Tomasza Becketa w katedrze kanterburyjskiej wejdzie na ekran w Londynie w dniu 28 lutego b.r.

DRAMAT MARII DĄBROWSKIEJ p.t. „Stanisław i Bogumił” czytany był przez zespół artystów scen polskich w Domu Pisarza przy Finchley Rd. Herminia Naglerowa poprzedziła czytanie prelekcją o twórczości Dąbrowskiej.

ODCZYT „O MIŁOŚCI KSIĄZKI” wygłosił w Instytucie im. Gen. Sikorskiego Alfred W. Z. Holński.

RADIO WOLNEJ EUROPY w Monachium skompletowało już personel redakcyjny. Szereg pisarzy, aktorów i muzyków polskich opuściło Londyn, aby rozpocząć pracę w radiostacji, która od 15 kwietnia zacznie 4-godzinny program polski.

PROF. STROŃSKI O KSIĄZCE MIN. BECKA. — Ożywną dyskusję w Instytucie im. Gen. Sikorskiego wywołał odczyt prof. St. Strońskiego o piśmiennictwie wydanych pamiętnikach dyplomatycznych ś.p. min. Becka.

OGŁOSZENIA DROBNE

WYPRZEDAŻ
EXRAFOWSKIE PODKOSZULKI WELNA Z JEDWABIEM, NOWE — po 12/6 (przesyłka 1/-) CONTINENTAL, 2 Hogarth Road LONDON S.W.5.

MONTEVERDE
TEXTILES TRADING
Wholesale, Retail, Export & Home Market
37a-b, Kilburn High Road,
London N.W.6.
Telefon: MAIda Vale 9924
Poleca duży wybór materiałów welnianych męskich i damskich, pochodzących wprost z pierwszorzędných fabryk angielskich, po cenach najniższych.
Firma nasza skutecznie również wysyła zamówionych materiałów gdziekolwiek za granicę. Na życzenie P.T. Klientów wysyłamy próbki wraz z cerami.

LISTY NA BERDYCZÓW

„IŻ POLACY NIE GĘSI I SWÓJ JĘZYK MAJĄ...”

Coraz gorzej z naszą polszczyzną. Artykuły w prasie pisane językiem coraz brzydszym. Orędzie do narodu jakby redagowane przez rasowych grafomanów. Przemówienia publiczne szare jak popiół. Audycje polskojęzyczne na Zachodzie czasami wręcz niezrozumiałe. Już zdaje się raz pisałem, że przydałby się kurator masy upadłościowej języka polskiego na emigracji. Słuchałem niedawno pogadanki radiowej, wygłoszonej w BBC. Po prosie nie rozumiałem o co szło. Napisał ją ktoś w nowym, nieznanym nam języku, stanowiącym zlepek polszczyzny z angielszczyzną. Albo też żywcem i dosłownie przetłumaczono ten pszczyt z angielskiego na polski. Ze też nikt nie potrafi cenzorom angielskim wyłumaczyć, że do Polaków rzeba mówić po polsku i żargonu dziennikarskiego strzec się jak ognia. W teatrach naszych przeszło półowa artystów nie ma zielonego pojęcia o dykcji. Po prostu — nie słyszymy, co oni mówią. A rekord lekceważenia pięknej polszczyzny biją niewątpliwie nasi działacze społeczni i polityczni. Już nie idzie mi o to, jaka jest zawartość intelektualna ich przemówień, ale niedbałość o formę zasługuje na klapsa.

Wnuczek mój, absolwent londyńskiego uniwersytetu, powiedział mnie któregoś dnia na publiczne zgromadzenie. Najprzód poszliśmy do sali, gdzie przemawiali politycy emigracyjni, którzy dążą do zjednoczenia i jedności, a potem powędrowaliśmy do innej sali, gdzie przemawiali politycy emigracyjni, którzy dążą do jedności i zjednoczenia. W jednej i w drugiej radzie zebrał się był kwiat pielgrzymstwa polskiego i w myśl piosneczki „Dudni woda dudni w cembrowanej studni” odawał się uciechom głośnego mówienia. Aliści powiem bez

ogródek: nasi koryfeusze przemawiali bardzo kiepską i mizerną polszczyzną. Upada sztuka krasomówstwa. Tylko nieliczni gardłacze przygotowują się do swojej oracji. Większość wierzy w siebie i w dar improwizacji. Większość, przynajmniej większość, przemawia szarą, płaską, kaleką, zakalcowaną polszczyzną urzędów skarbowych. Taki Demostenes emigracyjny nie kończy zdań. — co gorsza — robi błędy w przypadkowaniu. Nie używa porównań, nie cytuje sentencji, boi się wszelkiego ornamentu. Mowa to żalona — bez toku, bez frazy i kadencji. Zasób słów katastroficznie ubogi. Jakiś „basic Polish”, 800 słów. Język nieczysty, zabrudzony anglicyzmami. Jeden z posłów powiada: „Ameryka kontroluje Ocean”. Że co proszę? Po jakimś to? Drugi zaś mówi: „Ambasador amerykański do Moskwy”. Też nie po polsku. Oto co zapisałem w notesiku, przysłuchując się przemówieniom:

„Najbarbarzyński” zamiast: „najbardziej barbarzyński”. „Prezydent nie zawdzięcza swój urząd” zamiast nie zawdzięcza swego urzędu”. „Komisja widziała się zmuszoną skutecznie zakupy”, zamiast po prostu: „komisja musiała kupować”. „Rząd oparty o zasadę” zamiast „oparty na zasadzie”. „Zainteresowanie wzmiankowanego faktu” zamiast: „wydarzenie to”. „Niemcy zasugerowali W. Brytanii” zamiast: „zapropowowali”.

Polacy od jakiegoś czasu zaczynają zdania od zwrotu: „Muszę powiedzieć” (I must say). I tak dobrze, że nie mówią: „ja myślę tak”, „ja widzę”. Razi mnie także używanie sakramentalnego „względnie” zamiast „albo”. Niechlujstwem jest kończenie zdań wiatraczkim słownym, wynikającym z lenistwa umysłowego: „itd”, „itp”, „etc”. Martwi mnie zastrzeżenie się niektórych mówców, że nie będą długo mówili albo że nie mają właściwie nic nowego do dodania. ale... i tu zaczyna się wąż kokieterii: „że tak powiem”, „w dwóch słowach tylko”, „radbym dorzucić”, „co się tyczy Niemiec, to właśnie ze...”

Ułóż sobie, mój panie, zdania w głowie jak się należy, a potem dopiero zapisuj się do głosu. Nie czaruj nas jednak swoim roztargnieniem i lekkością motylka, przeskakującego z jednego strzępka tematu na drugi, jak z kwiatka na kwiatek.

Nie ma wśród nas wielkich mówców. Na psy schodzi tradycja. Młodych nikt nie uczy sztuki władania piękną polszczyzną. Jeśli się pojawi jakiś domorosły Skarga, skarga to straszna, jęk to ostatni. Ale najbardziej żal mi złożenia do grobu prostej, żywej, jędrnej polskiej mowy. Zapominamy

własnego języka w gębie. Jak gęsi. Czy to delegaci chłopów czy robotników, inteligenci czy ówierci inteligenci, wszyscy posługują się drewnianym, martwym językiem, wstrętnym i płaskim żargonem zawodowych działaczy społecznych lub politycznych.

Od jutra rana zadajemy naszym mówcom pokutę: wkucicie, mości panowie, choć jedną kartkę Sienkiewicza na pamięć, ucicie się pięknej polszczyzny, a napewno nie pozalujeicie!

Prof. Chrzęszczykiewicz, D.P.

CATHOLIC COUNCIL FOR POLISH WELFARE przy współdziałaniu POLSKIEJ MISJI KATOLICKIEJ pod patronatem ks. prałata W. STANISZEWSKIEGO Wicekonsula Delegata dla Polaków w Anglii i Walii organizuje w roku bieżącym następujące

PIELGRZYMKI

1) BARCELONA (Na Kongres Eucharystyczny) od 25 maja do 4 czerwca. CENA CENA £29.10.0 wraz z tygodniowym wypoczynkiem nad morzem (w Sitges).

2) LOURDES: CENA £22.17.6 a) od 8 do 14 czerwca c. od 10 do 16 sierpnia b) od 6 do 12 lipca d) od 31 sierpnia do 6 września

ZGŁOSZENIA PRZESYLAĆ JAK NAJWCZESNIEJ.

Ostatni termin jest: 3 tygodnie przed każdą pielgrzymką. Blizsze informacje i zgłoszenia należy kierować WYŁĄCZNIE do Biura Podróży

DAVIES, TURNER & CO LTD.

4, LOVER BELGRAVE STREET, LONDON, S.W.1. (kolo stacji Victoria). Można pisać po polsku. Na życzenie P.T. Klientów firma załatwia dodatkowo sprawy paszportów i wiz.

1-szy konkurs miesięczny rozrywek umysłowych w miesiącu lutym 1952 r.

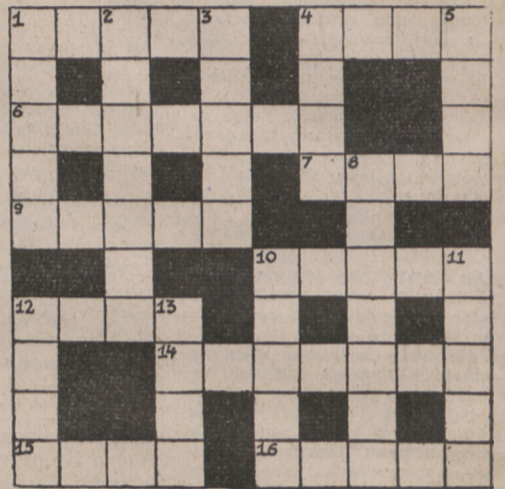
ZAGADKA NR 3.

KRZYŻÓWKA
(za rozwiązanie 2 punkty)

Poziomo: 1. Kłosa, 4. Inaczej szereg, 6. Rodzaj zagadki, 7. Inaczej iskra, 9. Polski poeta na przełomie XIX i XX wieku, 10. Słowo honoru, przyrzeczenie, 12. Srodek uspakajający nerwy, 14. Srodek lokomocji, 15. Los, 16. Szczytowe położenie słońca nad horyzontem.

Pionowo: 1. Tytuł opery Pucciniego, 2. Powstaje z niego roślinna, 3. Współczesny belgijski mąż stanu, 4. ...to nie zawsze pieniądz, 5. Popularna nazwa paradnego obchodu, 8. Stanowi uzbrojenie żołnierza, 10. Napój alkoholowy, 11. Kompozytor węgierski, 12. Płytkie miejsce na rzece, 13. Umiejętność będąca przywilejem tylko ludzi.

Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 21 lutego b.r. Do rozwiązania należy dołączyć kupon Nr 3 wycięty z tego numeru „Gazety”. Wszyscy przystępujący do Konkursu z zagadką Nr 3 wpłacają wpisowe. Patrz warunki Konkursu Miesięcznego w m. lutym 1952 — podane poniżej.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 4.

Poziomo: Buława, okazja, stwórca, dym, miast, oda, ile, dwa (wspak) tuz, udo, ave, tukan, GAL, agrafka, rydwan, piskle.

Pionowo: Bródza, Wit, kuc, ananas, góral, kmio-

tek, podłoga, meszt, tabun, parter, skwar, plemie, gra, kpl.

Nagrodę w postaci książki M. Hemara: LONDYN-SKIE LATA otrzymuje na podstawie losowania p. T. Kasprzyk, 67 Oldbury Road, Smethwick, Staffs.

KUPON Nr 3.
DO ZAGADKI Nr 3.
17 lutego 1952.
z lutowego Konkursu
Rozrywek Umysłowych
„GAZETY NIEDZIELNEJ”

PIEPRZ CZARNY
ziarnisty 1/2 kg. do Polski wraz z opłatą pocztową 23/9

Kawa Nestle 1 lb. 15/- z przesyłką

NYLONY GAUGE 54
2 pary 23/-

MANSON LABORATORY
IMPORTER & WHOLESALE
255, Old Brompton Road, London, S. W. 5
Tel. FLA 9131

Dbaj o zdrowie Rodziny
Wysyłaj paczki do Kraju
Wszelkich fachowych porad i wskazówek udziela bezpłatnie

APTEKA POLSKA
Mgr. Farin. M. STAKIEWICZ
74, Deacon Street, London, S. E. 17. Tel.: ROD 4628.
Stacja: Elephant & Castle
Busy: 1.4a, 12.35, 53a, 63.153
Wykonuje i wysyła pocztą recepty Nation. Hel. Serv.
Ceny ściśle katalogowe

WARUNKI KONKURSU

1. Konkurs będzie trwał przez miesiąc luty 1952 r. i obejmie 4 zagadki numerowane od 1 do 4, które się ukażą w czterech kolejnych numerach „Gazety Niedzielnej”, w 4 niedziele m. lutego br.

2. Każda zagadka jest oceniona na 2 punkty, które się zapisuje na dobro tego, kto nadesłaje jej bezbłędne rozwiązanie, w terminie podanym przy każdej zagadce (rozstrzyga data stempla pocztowego). Do rozwiązania winien być dołączony kupon wycięty z „Gazety Niedzielnej”, opatrzone tym samym numerem, co rozwiązana zagadka.

3. Po zakończeniu Konkursu będą rozlosowane następujące nagrody:
I NAGRODA — £ 2.0.0 w gotówce — dla I-ej kategorii uczestników, mających na swe dobro pełną ilość 8 punktów, t. zn. wszystkie 4 zagadki bezbłędnie rozwiązane.
II NAGRODA — £ 1.0.0 w gotówce — dla II-ej kategorii uczestników, mających na swe dobro co najmniej 6 punktów t. zn. 3 którekolwiek zagadki bezbłędnie rozwiązane.
III NAGRODA — £ 0.10.0 w gotówce — dla III-ej kategorii uczestników, mających na swe dobro co najmniej 4 punkty t. zn. 2 którekolwiek zagadki bezbłędnie rozwiązane.
IV NAGRODA — wartościowa książka — dla IV kategorii uczestników, mających na swe dobro co najmniej 2 punkty za rozwiązanie choćby jednej z 4 zagadek.

4. W Konkursie można wziąć udział zaczynając od którejkolwiek zagadki i wchodząc przez to do dalszych kategorii uczestników. Każdy przystępujący do udziału w Konkursie nadsyła wraz ze swym pierwszym rozwiązaniem 1 sh Postal Orderem (z zagranicy 3 kupony pocztowe międzynarodowe) — jako wpisowe.

5. Nadsyłając rozwiązania, należy na kopercie na lewo u dołu umieścić napis: KONKURS LUTOWY — ZAGADKA NR...

6. Wynik Konkursu (rozwiązania zagadek i nagrodzeni) będzie ogłoszony w n-rze 11 „Gazety Niedzielnej” z datą 16 marca, 1952r.

HUMOR

KWESTIA ĆWICZENIA

— Nie umiem sobie wytłumaczyć, w jaki sposób ty zawsze umiesz zachować taki wspaniały spokój?...

— Widzisz mój drogi, to jest tylko kwestia wprawy, stałego ćwiczenia. Ja mam żonę, pięcioro dzieci, dwa psy i zapalnizkę.



W DOBIE REKORDÓW

— Zdawałoby się, panie Piecyk, że to taki sobie zwykły melonik, a jednak swoje 30 kilometrów na godzinę jak nie wyciąga...

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: 12, PRAED MEWS, LONDON W.2. Telefon AMB 6879. Wydawca: VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Prenumerata (z przesyłką) płatna z góry: miesięcznie 2/6, kwartalnie 7/-; półrocznie 14/-; rocznie 28/-. Niezamówionych rękopisów Redakcja nie zwraca. OGŁOSZENIA. 1 cal przez 1 iam £1. W tekście 50 proc. drożej, na pierwszej stronie 100 proc. drożej. Za każde następnne ogłoszenie tej samej treści — opust, zależny od ilości ogłoszeń. Nekrologi: 10 sh. za cal. Ogłoszenia drobne: 1 sh. od wiersza. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada. PRZEDSTAWICIELSTWA ADMINISTRACJI — BELGIA: Mme E. Kulakowska, 101, rue Auguste Lambotte, Bruxelles 3. Cena numeru 3 fr. b.: prenumerata miesięczna 20 fr. b. Wpłaty na adres powyższy lub na konto pocztowe C. C. P. Nr. 798141. FRANCOJA: „Libella” Librairie, 12, rue St. Louis en l'île, Paris IV. Cena numeru 10 fr., kwartał 270 fr. HOLANDIA: Przedstawicielstwo „Gazety Niedzielnej”, Breda, Schormolenstraat 9. Cena nru pojedynczego 20 centów, pren. mies 95 centów, kwart. 2 gułd. 70 centów NIEMCY: Księgarnia „Wiedza”, Schwandorf/Bayern, Bahnhofst. 19. Germany US Zone, Cena nru 0.25 DM, pren. mies. 1.50 DM, kwartał 4. 50 DM. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, E. Baginaki, 3690, Helen Av., Detroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 22, Illinois. Pre-numerata kwartałna 1 \$, pocztą lotniczą 3 \$. SZWAJCARIA: „Veritas” Case Postale 19 Pribourg, 3. Cena numeru 0.30 fr., prenumerata miesięczna 1.20 fr., kwartałna 3.50. SZWECJA: Dywizja ukrowski, Anggatan 6 C, Lund. Cena numeru 0.50 kr., prenumerata miesięczna 2.00 kr., kwartałna 5.00 kr. W ceny prenumeraty wliczona jest przesyłka pocztowa. Cena stały dodatek p.n. „POLSKA WALCZĄCA”. Prenumerata jest płatna z góry. W sprawie cen ogłoszeń prosimy porozumiewać się z Przedstawicielami.